



MAJ
1988



miesięcznik polityczny

Organizacji - Liberalnych Demokratów

Nr 77

WARSZAWA

cena 110 zł.

ODEZWA PŁON DO STRAJKUJĄCYCH
WIOSNA NASZA ?

NADZIEJA ZMIANA WARTY

KONIEC EKIPY CZY SYSTEMU

Z PERSPEKTYWY PROWINCJI

KLIKA W STADJUM MAFII / "GAZETA PODZIEMNA" KUTNO/

BOJKOT "WYBOROW"

MIRAZE NIEPODLEGŁOŚCI

WOKOŁ "BIAŁYCH PŁAM" cz. II

KATOLICY W KAPITALIZMIE

NOWY NUMER "SAMOSTANOWIENIA"

FELIETON OBSERWATORA:

KONIEC WĘGERSKIEGO MITU

NOTATNIK ARKADYJSKI:

XXIX. SYMBOLEZNY, SPONTANICZNY I SPEKTAKULARNY WYRAZ
"JUDASZ" DO "RAM":

XVII? KULTURA I ŚWIATA

SPROSTOWANIE

KOMUNIKATY

Porozumienie Partii i Organizacji Niepodległościowych OLD "Niepodległość", Polska Partia Niepodległościowa, GP "Samostanowienie", Org. Wolność Sprawiedliwość - Niepodległość, RP WYZWOLENIE:

- wyraża swoje pełne poparcie dla słusznych żądań robotników strajkujących w Nowej Hucie, Stoczni Gdańskiej i wszystkich, którzy podejmują akcje strajkowe;
- uznaje słuszność żądań płacowych w obecnej sytuacji bytowej robotników i wszystkich pracujących, ale równocześnie uważa, iż spełnienie tych żądań przynosząc chwilową poprawę bytu nie rozwiązuje żadnego z istotnych problemów i nie zmieni istoty wyzysku pracy ludzkiej stosowanego przez państwowego pracodawcę;

bowiem

- rozwiązaniem, dającym gwarancje wyjścia z kryzysu, który objął wszystkie dziedziny naszego życia, jest gruntowna zmiana systemu politycznego i gospodarczego;

- system polityczny musi stać się systemem prawdziwie demokratycznym z konstytucyjną, niepodważalną gwarancją rzeczywistej wolności związków, partii politycznych i zrzeszeń; warunkiem powstania takiego systemu są wolne wybory;

- system gospodarczy PRL po sześciu latach "reformowania" w warunkach spokoju i częściowo pod ochroną stanu wojennego wchodzi w nowy etap kryzysu. Kryzys ten oznacza dla wszystkich pracowników bezproduktywny wysiłek i nędzne płace;

- kłamstwem jest, że państwo nie ma z czego podnosić płac. Państwo, trzymające w swoich rękach całą gospodarkę i przeznaczające olbrzymie sumy na zbrojenia i na aparat bezpieczeństwa, nie potrafi i nie chce dbać o poziom życia społeczeństwa.

Żądamy prawa do wolnej, nieskrępowanej przedsiębiorczości gospodarczej w każdej dziedzinie i pełnego, rzeczywistego równouprawnienia wszystkich form własności - państwowej, spółdzielczej, samorządowej i prywatnej!

Żądajmy likwidacji przywilejów dla aparatu PZPR, służby bezpieczeństwa, administracji rządowej i gospodarczej!

Żądajmy gospodarki bez kartek, talonów, asygnat na samochody, bez rozdziału surowców, materiałów i towarów!

Żądajmy gospodarki bez oszukańczych manipulacji cenami i płacami!

Żądajmy pluralistycznego systemu politycznego - jedynej gwarancji rzeczywistej przemiany!

Warszawa, 4 maja 1988 r.

Karol Wit
Przewodniczący PPION

W I O S N A N A S Z A ?

Sytuacja Polski jest beznadziejnie tragiczna. Nakanemu kryzysem społecznym, politycznym, a przede wszystkim gospodarczym, państwu pomóc mogą tylko całościowe pomyślane, konsekwentnie wprowadzane i zaakceptowane przez społeczeństwo, reformy. I to zaakceptowane nie tylko werbalnie ale i faktycznie, co oznacza także zgodę na konieczne wyrzeczenia, czyli porzucają wygodne eufemizmy, na dalsze obniżające poziom życia koszty urynkowania gospodarki z jednej strony i spłacania zagranicznych pożyczek - drugiej.

Konieczność głębokiego zreformowania polskiej gospodarki oraz politycznego otwarcia w stronę zwykłych obywateli została zrozumiana przez władze. Symptomy tego ostatniego - prawda, że narazie nieśmiałe i niewystarczające, ale już wyraźne - nie dadzą się zakwestionować. O reformie mówią także, deklarując dla niej zdecydowane poparcie, rozsądne środowiska niezależne, choć nie zdobyły się do tej pory na publiczne przedstawienie jej scenariusza.

Polska tragedia polega natomiast na tym, że te dwie proreformatorskie siły nie są w stanie pokonać dzielących ich, drugorzędnych w końcu animozji, by w efektywnej formule "paktu antykryzysowego" wynegocjować zbawienne dla Polski porozumienie narodowe. Jednym słowem pat, w którym żadne ze stron nie ma ruchu. Efekty tego pata są jak najgorsze. Rząd Jaruzelskiego /Messner to przecież figurant/ - ta najlepsza, najbardziej kompetentna, najbardziej proreformatorsko nastawiona ekipa w dziejach peerelu - nie może dla swoich poczynań uzyskać społecznego poparcia. W efekcie mamy do czynienia z zabójczymi dla reformy w dłuższej perspektywie, żadaniami płacowymi ostatnio przyjmującymi formę strajków ekonomicznych oraz z politycznym przypieraniem władzy do muru przez opozycyjnych radykałów.

A przecież, dla każdego kto ma jakie takie pojęcie o ekonomii powinno być oczywiste, iż:

- po pierwsze, koszty koniecznych reform muszą być z czegoś pokryte, w związku zaś z ogromnym zadłużeniem zagranicznym jedynym źródłem rezerw może być tylko ograniczenie konsumpcji, praca, praca i jeszcze raz praca...;

- po wtóre, podwyżki płac ponad możliwości gospodarki przyniosą społeczeństwu w bliskiej perspektywie korzyści wyłącznie iluzoryczne, by zaowocować w dalszej, w wyniku nakręconej takim sposobem inflacji, ewidentnymi stratami;

- po trzecie, niepokoje społeczne w Polsce oraz antyreformatorskie nastawienie społeczeństwa przejawiające się choćby w wynikach referendum, uniemożliwi już i tak niełatwe włączenie się Zachodu w odbudowę polskiej gospodarki;

- po czwarte, strajki nie tylko, że przynoszą konkretne straty produkcyjne, na które w polskiej sytuacji trudno sobie pozwolić, ale dodatkowo anarchizują i tak już zanarchizowaną gospodarkę.

Tak zdaje się interpretować polski węzeł gordyjski wielu, jeśli nie bardzo wielu polityków i publicystów zachodnich a także liczni i liczący się krajowi rozsądni działacze niezależni. Antystrajkowe argumenty komunistycznych władz peerelowskich /patrz wyżej/ kupowane są przez te środowiska z całym dobrodziejstwem inwentarza. O ile jednak Zachód jest tu w jakimś przynajmniej stopniu usprawiedliwiony "niepoznawalnością komunizmu" uwiarygodnianego dodatkowo przez realistycznych "polityków" opozycyjnych, o tyle tych ostatnich nie, poza skrajną naiwnością lub "tanią" grą polityczną, nie usprawiedliwia.

Przedstawiony bowiem powyżej obraz polskiej sytuacji jest z gruntu fałszywy. Chociażby dlatego, że:

- Władza nie ma żadnego sensownego, spójnego i konsekwentnego programu reform gospodarczych, politycznych i społecznych. W szczególności nie zamierza - mimo nie poznaki, którą dość nieumiejętnie stara się robić - rzec się bezpośredniego wpływu na gospodarkę lub wpływ ten uszczuplić poprzez dopuszczenie do głosu, choćby w kwestiach wyłącznie ekonomicznych i innych niż ona, lub od niej niezależnych podmiotów politycznych. Dowodnie świadczą o tym ostatnie wydarzenia - godzenie się przez władze na wszystkie postulaty ekonomiczne /te podobno rozkładające reformę/ i bezwzględne odrzucanie wszelkich innych, w tym pluralizmu związkowego, oraz spróbowane przez nią pełnomocnictwa specjalne dla rządu /taki komunizm wojenny na miarę lat osiemdziesiątych/.

Sensownego, spójnego i konsekwentnego programu reformy nie posiada także i o pozycja. Nie jest to tragedia o ile tyczy się ugrupowań prawicowych, postulujących liberalizm gospodarczy. System ten działa w praktyce i z sukcesem i jest skąd importować konkretne rozwiązania. Gorzej jeśli żadnych konkretnych nie są w stanie zaproponować środowiska lewicowe czy też związane z "Solidarnością". W takiej sytuacji deklaracje o dążeniu do zrobienia reformy /jakiej??/?/ razem z władzą przypominają co nieco tę żabę co także chciała się dać podkuć.

- Zaprezentowane powyżej cztery odnoszące się do reformy a la Jaruzelski wątki opierają się w najlepszym razie na nieporozumieniu, a więc są co najmniej wątpliwe jeśli nie służą świadomemu kamuflowaniu celów władzy. Bowiem:

Po pierwsze, koszty reformy mogą być pokryte nie tylko poprzez ograniczenie konsumpcji ale choćby poprzez zmniejszenie wydatków państwa na wojsko /skrócić służbę wojskową, zrezygnować z nowych broni - k sztownych zabawek dla generałów/, policję /zlikwidować służbę bezpieczeństwa w jej komunistycznym wydaniu, ograniczyć aparat aparatu represji/ a wreszcie gospodarkę /zaniechać nieefektywnych inwestycji surowcowych i energetycznych, radykalnie zmniejszyć administrację gospodarczą/. Dońcero resztą kosztów można by próbować obciążyć społeczeństwo. I to pod warunkiem stosownej rekompensaty w sferze politycznej /np. pluralizm związkowy i polityczny/ i gospodarczej /np. akcjonariat pracy/.

Po wtóre, spiralę inflacyjną nakręcają przede wszystkim inflacyjna polityka władz polegająca na horendalnych /kilkudziesięcio jeśli nie kilkuset procentowych w skali rocznej/ podwyżkach praktycznie wszystkiego. Żądanie podwyżek płac to samoobrona u możliwiająca, że użyję tu słów członka mazowieckiego RKW Macieja Jankowskiego wypo wiedzianych na wiecu na Uniwersytecie Warszawskim, dotrwanie do reformy w jakiej takiej kondycji. Niestety, tylko nielicznym, tylko tym z dużą siłą przebicia, a więc i tak mającym się nieźle i tu właśnie tkwi dwuznaczność strajkowej taktyki.

Po trzecie finansowe włączenie się Zachodu w pseudoreformę generała Jaruzelskiego niekoniecznie leży w interesie społeczeństwa polskiego. Najprawdopodobniej jedynym efektem takiego włączenia byłby lawinowy wzrost zadłużenia na Zachodzie.

Po czwarte, anarchizują gospodarkę nie tyle same strajki ile reakcja władzy na

nie. oraz jej taktyka ograniczania konsumpcji poprzez podwyżki cen generujące galopującą inflację. Zwłaszcza ostatni dany przez władzę spektakl, polegający na jeździe do strajkujących zakładów z workiem pieniędzy i sypaniem nimi na lewo i prawo powinien dać coś niecoś do myślenia zwolennikom porządku w gospodarce.

Podsumowując wiosenne wydarzenia w Polsce stwierdzić wypada, że nadzieje żywione przez środowiska umiarkowane na zmianę charakteru władzy w peerelu się nie sprawdziły. Nadal jest to władza komunistyczna a nie technokratyczna. Nadal obowiązuje prymat polityki "obrona monopolu na władzę/ nad ekonomią. Gdyby władza chciała rzeczywiście reformować gospodarkę to miała przecież niepowtarzalną, być może okazję by takie reformy społeczeństwu narzucić. Wystarczyłoby spróbować wziąć opozycję związkową /umiarkowaną/ na słowo... odrzucić ekonomiczne postulaty strajkujących a przyjąć polityczne i zarządać zgdy na dalsze wyrzeczenia.

Trudno jednak godzić się z góry na wyrzeczenia - oznacza to bowiem zgodę na pseudoreformę, co przecież nie wchodzi w rachubę. Ponieważ zaś wszelkie cywilizowane metody czy to artykułowania przez społeczeństwo sprzeciwu wobec polityki władz, czy to osiagania z władzą kompromisu są zupełnie nierealne, cóż poza strajkiem pozostaje? Zwłaszcza jeśli uświadomimy sobie, że czerwoni gotowi są do rokowań wyłącznie z własnymi nominatami, o ile właśnie nie przystawiam się do skroni strajkowego pistoletu.

Dlatego rozpatrywanie wiosennej fali strajków w Polsce wyłącznie z punktu widzenia natychmiastowych skutków ekonomicznych - co czyni część przynajmniej środowisk umiarkowanych - jest grubym błędem. Przypomina jakby komunistyczne podejście do tego problemu, tyle że na odwrotną - tym razem jest to prymat ekonomii nad polityką. Tymczasem w tym właśnie wymiarze strajki wydają się dla nas wyjątkowo opłacalne. I to z kilku przynajmniej powodów:

Po pierwsze, wyjaśniając sytuację w polskim, zwłaszcza związkowym, podziemiu. Dziś już wiadomo, gdzie tkwi siła opcji związkowej /Kraków, Gdańsk/ a gdzie jej słabość /Warszawa, Lublin, Wrocław/. Jak na dłoni widać także słabość i koncepcyjną i wykonawczą opozycję polityczną, która buntującemu się społeczeństwu nie miała do zaproponowania nic poza radykalnymi oświadczeniami, które, nota bene wiele, poza uspokojeniem sumienia oświadczających, nie dały, bo zresztą dać nie mogły. Tak naprawdę bowiem, przez Polskę przeszła fala oświadczeń strajki popierających lub do ich podjęcia wzywających. Nikłe, a właściwie żadne ich rezultaty zweryfikowały rzeczywistą siłę ugrupowań werbalnie radykalnych - "SW", "KPN" u czy "PPS"-u naprzykład. Polacy, także ci radykalni - z chlubnym wyjątkiem studentów - strajkom conajwyżej kibicowali.

Po wtóre, ostatnie strajki miały także swoje reperkusje polityczne. Zachwiały legitymizację komunistycznego reżymu w Polsce, co przejawia się w odłożeniu zapowiadanych, projektowanych lub potencjalnych wizyt w peerelu zachodnich polityków - kancлера Kohla, premiera Tatchera czy prezydenta Reagana. Wyciągnęły ponownie sprawę polską na tapetę i to w okresie dla nas niezbyt korzystnym - dogadywania się Amerykanów z Sowietami. Stąd właśnie szybkie zapewnienia amerykańskiej dyplomacji, że Reagan w Moskwie nie poruszy kwestii polskiej, stąd "pieczołowicie wyważone" /termin Jacka Kalabińskiego - R"WE"/ reakcje na polski kryzys zastępcy sekretarza stanu Johna Whitehada dodatkowo reklamującego reżymowy program reformy gospodarczej jako "zasadniczo rozsądny". Stąd wreszcie publiczne obawy krajowych, pozał się Boże polityków /Adama Michnika/ że niepokoje w Polsce mogą zagrozić gorbaczowskiej pieriestrojce. Jakby nic nie pomogły zeszłoroczne przestrogi Jerzego Giedrojcia przed programowym wyrzekaniem się nacisków zarówno na naszych sprzymierzeńców /Zachód/ jak i przeciwników /Wschód/. A przecież niepokoje w Polsce w sytuacji gdy obie strony światowego konfliktu dążą do wygaszania konfliktów lokalnych to właśnie taki nacisk.

Nie martwmy się więc może, że nasze dążenia do odzyskania należnych nam a niezbywalnych praw mogą stać się przeszkodą w amerykańsko-sowieckim porozumieniu, nie przejmujemy się także zbyt ich potencjalnym negatywnym wpływem na sowiecką pieriestrojkę. Zostawmy te zmartwienia Reaganowi i Gorbaczowowi. Niech może oni pomartwią się reperkusjami, choćby lokalnymi, naszej jawnej niezgody na komunizm i niech oni się zastanowią czym nam za spokój w Polsce zapłacić. Może afganizacja, może finlandyzacja, może wycofaniem się komunistów z gospodarki...a może czymś innym. Nie pozbywajmy się wszakże z góry naszych atutów. Zwłaszcza, że konflikt w Europie Środkowej sam z siebie nie tylko nie wygaśnie ale raczej potęgował się będzie z roku na rok. Ostatnio zauważył to nawet realista wzorcowy - sam Henry Kissinger, który zwrócił uwagę, że Stany Zjednoczone rozmawiają ze Związkiem Sowieckim na temat likwidacji zagrożenia

najmniej prawdopodobnego - wojny nuklearnej świadomie dystansując się od problemu, który w najbliższych latach stanie się kluczowym w stosunkach Wschód-Zachód i który wywierać będzie coraz bardziej przemożny wpływ na ich wzajemne bezpieczeństwo - kwestii Europy Środkowej.

Jakby to więc nie zabrzmiało paradoksalnie, biorąc pod uwagę, że poniższa konkluzja głoszona jest na łamach liberalno-demokratycznego miesięcznika, wiosenne niepokoje społeczne - czytaj strajki - uważamy za korzystne dla sprawy polskiej, zarówno w jej międzynarodowym jak i wewnętrznym wymiarze. Przede wszystkim dlatego, że wiosenne wydarzenia przypominają światowej polityce o jeszcze jednym, świadomie zapomnianym konflikcie regionalnym. Konflikcie między społeczeństwami Europy Środkowej a rządzącymi w niej sowieckimi mandatariuszami. Strajkowy bunt polskich robotników wiosną 1988 roku był tego konfliktu spektakularnym i napewno nie ostatnim objawem. Także dlatego, że wydarzenia wiosenne radykalnie przybliżają autentyczną reformę absurdalnego systemu ekonomicznego peerelu. Albo poprzez uświadomienie sobie przez władzę konieczności radykalnej reformy rynkowej, aprobowanej przez społeczeństwo w co nie wierzymy. Albo poprzez przyczynienie się do takiego rozregulowania mechanizmów gospodarczych przez panicznie na strajki reagujące władze, że dojdzie do niewyobrażalnej dla nas jeszcze dziś katastrofy gospodarczej. Co może postawić zarówno władzę jak i społeczeństwo przed koniecznością rekonstrukcji gospodarki według, jak Pan Bóg przykazał, reguł mechanizmu rynkowego i co byłoby z korzyścią dla wszystkich zainteresowanych. Wszelkie bowiem nadzieje wiązać można jedynie z radykalną przebudową systemu, permanentne jego reformowanie a la lata osiemdziesiąte skutkować będzie wyłącznie powolnym jego gnieniem. Są bowiem sytuacje, w których prawda jest, że im gorzej, tym lepiej i w takiej sytuacji przyszło nam żyć właśnie obecnie.

Gniewosz PLAMISTY

NADZIEJĄ ZMIANA WARTY

10 maja wieczorem niewielka grupa strajkujących robotników dobrowolnie opuściła Stocznnię Gdańską. Tym samym wygasło ostatecznie miejsce robotniczego protestu. Strajk w Stoczni Gdańskiej, podobnie jak przerwany przy użyciu milicyjnej siły w Hucie im. Lenina, zakończył się praktycznie niczym. Robotnicy w rozmowach z władzami ~~maszynowymi~~ tych zakładów pracy nie zdołali przeforsować żadnego z przedstawionych postulatów, nawet tych ze sfery ekonomicznej. O przywróceniu legalnej działalności NSZZ "Solidarność" dyrekcje nie chciały nawet słyszeć. Czyżby była to jeszcze jedna przegrana polskich robotników i wspierających ich protest studentów? W taki właśnie sposób efekty strajków podsumowała władza. Obserwatorów polskich wydarzeń może zdumiewało znikome poparcie ze strony innych dużych zakładów pracy. Strajków solidarnościowych pomimo szumnych zapowiedzi było niewiele, a nawet gdy się zaczynały, rewindykacje płacowe, szybko zresztą zaspakajane, gasiły je w zarodku.

Tym niemniej wydarzenia ostatnich dni, chociaż rzeczywiście niczego nie rozstrzygnęły, moim zdaniem były bardzo polskiemu społeczeństwu potrzebne. Pozwoliły przede wszystkim na rzetelne określenie sił i środków obydwu stron pozostających we wzajemnym konflikcie. Polskie społeczeństwo nie jest tym samym społeczeństwem, które w latach 81 udzielało prawie nieograniczonego kredytu przywódcom "Solidarności". Wstrząs wywołany stanem wojennym odcisnął na nim swoje piętno. Rozbicie w tak krótkim czasie i tak skutecznie wielomilionowej organizacji o sprawnie działających strukturach w istotny sposób osłabiło wiarę w sens masowych wystąpień. Te sześć lat, które upłynęły od czasu zdławienia "S" i doświadczenia w międzyczasie organizowanych protestach, spowodowały powolne zanikanie solidarności grupowej i międzyludzkiej, czyli nieuniknioną dezintegrację więzi społecznych - tzw. anomią. Jest to naturalny proces, który można i należy zrozumieć. Ucieczka w prywatność, krzatanie się wokół własnych interesów / szybko przyjmowane proponowane podwyżki płac / to namacalny skutek tej dezintegracji.

W takiej sytuacji trudno się nawet dziwić, że to nie kierownictwo "S" było inspiratorem strajków. Na ich czele stawali nie weterani strajków sierpniowych, lecz młodzi robotnicy i studenci, którzy wówczas mieli po lat kilkanaście. Dla wielu był to pierwszy strajk w życiu i pierwsze starcie z władzą. Nie obciążeni przeżyciami Grudnia, nie znający gorczy przegranej, starali się w polskim życiu społecznym otworzyć zupełnie nowy rozdział, już chyba nie pełni solidarnościowy. Ci ludzie, wprawdzie odwoływali się do tradycji związku i legalizację "Solidarności" postawili na czołowym miejscu, lecz radykalizmem postaw społecznych przewyższali znacznie "starych"

działaczy związkowych, Należy sądzić, że z tego pokolenia wyrosną nowi przywódcy i wcześniej czy później oni właśnie poprowadzą swoich zwolenników do nieuniknionej konfrontacji z władzą. I to jest chyba najważniejszy zysk z ostatnich wydarzeń.

Przywódcy "S" poparli wprawdzie strajki i wezwali zakłady pracy do protestu. Nie znaleźli jednak większego posłuchu. Dlaczego tak się stało. Frustracja, zmęczenie, zniechęcenie miało w tym swój znaczący wpływ. Ale chyba nie najistotniejszy. Robotnicy nie chcieli przerwać pracy, ponieważ wstępną naprawdę nie widzieli w tym większego sensu. Ci z nich, którzy przeżyli rozkwit i upadek "S", zdają sobie sprawę, że robotniczy związek jest sprawą istotną, ale nie najistotniejszą. Jego istnienie jest tylko elementem szerszego kontestu społeczno-politycznego. Wolny związek w zetknięciu z totalitarnymi strukturami państwa nie ma żadnej racji bytu. Wcześniej czy później zostałby i tak zlikwidowany. Masowe poparcie, choćby nawet w formie strajków może uzyskać jasny i konkretny program, zrozumiały dla strajkujących, bo niosący nadzieję na lepszą przyszłość. Tego programu z oczywistych racji nie mieli jeszcze młodzi strajkowi przywódcy, takiego programu przez sześć lat nie byli w stanie stworzyć liderzy "Solidarności". Program walki powinien być programem kompleksowych zmian, które muszą być dokonane w Polsce. Walka o "Solidarność" może być jedynie elementem tego programu. Robotnicy, studenci i pozostali potencjalni uczestnicy protestu muszą być przekonani, że o to o co strajkują warto narażać zdrowie, a nawet swoje życie, a także przyszłość swoich bliskich.

Ostatnie strajki nie mogły przynieść efektów, gdyż nie miały ani dynamicznego ogólnokrajowego przywództwa, ani ideowej i politycznej koncepcji. Wykazały one natomiast słabość tego co pozostało z "Solidarności". Przywódcy związku, wewnętrznie skłóceni kanapowi politycy, nie starali się ani objąć przywództwa, ani pokierować strajkami. Nie starali się, gdyż dziejące się wydarzenia były dla nich zaskoczeniem. Sam Lech Wałęsa po wyjściu ze stoczni przyznał, że to nie "Solidarność" zorganizowała strajki i nie ona jest za nie odpowiedzialna. Prawdziwy przykład szczerości. Ten sam Wałęsa starał się jednak ratować prestiż Związku zamykając się w stoczni ze strajkującymi robotnikami. Ponownie wcielił się w rolę, w której naprawdę dobrze się czuje - przywódcy robotniczego.

Czy jednak ostatnie wydarzenia nie obdarły nas wszystkich z pielęgnowanych złudzeń, że w tym kraju można jeszcze coś zmienić. Sądzę raczej, że wyzwoliły nas ze złudzeń porozumiewania się z władzą. Komunizm udowodnił po raz któryś z rzędu, że stać go tylko na radykalne rozwiązywanie konfliktów z przeciwnikami, a dialog ze społeczeństwem jest ostatnią rzeczą, na którą się zdecydować. Zwycięstwo, które przypisuje sobie władza jest conajwyżej zwycięstwem pyrrusowym. W Polsce po strajkach nic się nie zmieniło, bo zmienić się nie mogło. Problemy pozostały takie same, a nawet jeszcze bardziej nabrzmiałe. Porażka strajków jest jednak z pewnością kubłem zimnej wody wylanym na głowy przywódców "S", oraz dowodzi bankructwa ich polityki doktryny braku koncepcji. Jeżeli kierownictwo "S" wyciągnie z tego wnioski, które zaowocują w przyszłości nową strategią związku, to ostatnie wydarzenia do czegoś się naprawdę przydadzą. Nie można przez całe lata odcinać kuponów z niegdysiejszej świetności i upajać się własnymi słowami mówionymi do mikrofonów zaprzyjaźnionych radiostacji. Zastój polityczny związku zderzył się z dynamizmem, na razie tylko z dynamizmem młodych strajkujących robotników.

W każdym razie problemy tego kraju pozostały takie same jak przed strajkiem, pozostała ta sama władza, która przez swą brutalność i arogancję pozbawiła chyba /o bym się nie mylił/ opozycję złudzeń na jakikolwiek dialog. A więc na bok złudzenia. Komunizm w sferze politycznej, gospodarczej, kulturalnej pozostaje tradycyjnym komunizmem. Zmiana ekipy niczego nie ułatwi. Polska jako kraj niesuwerenny i zniewolony ma znikome szanse na zrobienie sensownego manewru politycznego. Reformy tam się kończą, gdzie zaczyna się zagrożenie ustrojowe. Tymi zagrożeniami jest wolność myśli, wolna gospodarka, pluralizm społeczny. Komunizm nie wyprowadzi Polski z kryzysu nawet przy bardzo wydatnej pracy społeczeństwa. Kryzys nastąpił nie z powodu złej pracy Polaków, lecz z powodu utrzymywania systemu, którego założenia polityczne są kryzysogenne. Z tego należy zdać sobie sprawę. Żadna reforma w komunizmie i w granicach zakreślonych przez komunizm nie zapełni towarów magazynów, ani nie spowoduje tego, że ludzie znowu zaczną się uśmiechać. Po ostatnich wydarzeniach w Polsce zapewne zmalała liczba optymistów, i tych powodowanych rzeczywistym poczuciem odpowiedzialności za kraj i tych wieszających się u czerwonej klamki.

Zrozumienie obecnych wydarzeń jest ważne, gdyż były one tylko preludium do tego,

co w Polsce w najbliższym czasie nastąpi. W następnej fazie walka musi toczyć się o wszystko. Jest to życiowa konieczność dla nas wszystkich.

Cyryl CYWILNY

KONIEC EKIPY CZY SYSTEMU?

Wydarzenia z przełomu kwietnia i maja są oznaką, że polski kryzys wszedł w nową fazę. Polska po strajkach w stoczni i hucie nie jest już taka sama, jak przed. W Gdańsku i Nowej Hucie uruchomiony został zegar, który odmierza ekipie Jaruzelskiego ostatnie godziny. Strajki w hucie i stoczni nie były początkiem jakiegoś procesu, lecz stanowiły koniec ciągu wydarzeń będącego wynikiem kompromitującej indolencji ekipy generała.

Koniec ekipy

Po 5 latach pozorowania reformy gospodarczej gospodarka znalazła się w stanie stagnacji. Wyniki roku 1987 były złe, prawdopodobnie nastąpił bezwzględny spadek dochodu narodowego. Odpowiedzią władz na stagnację było hasło drugiego etapu reformy. Pomysł nie był zły, lecz jak zwykle wykonano go fatalnie. Reforma poprzedzona miała być podwyżką cen urzędowych. Był to oczywisty błąd, tym bardziej zdumiewający, że dokładnie ten sam manewr w roku 1982 nie przyniósł trwałej poprawy sytuacji, to znaczy nie doprowadził do pożądaných relacji cen. W roku 1982 podwyżki dokonane zostały pod osłoną stanu wojennego, co pozwoliło zmniejszyć płace realne o 25%. Absurdem było liczyć, że po 6 latach uda się zrobić podobny numer.

Jak zwykle znalazł się "właściwy człowiek na właściwym miejscu". W 1982 roku był nim profesor Kasiński, teraz profesor Sadowski, wyposażony w jeszcze większe pełnomocnictwa niż tamten. Sprawia wrażenie pewnego siebie i forsuje zdumiewające posunięcia z miną pokerzysty który ma asa w rękawie. Obiecuje Polakom złote góry, jeśli tylko zgodzą się na podwyżki cen. W ciągu 2-3 lat dzięki drugiemu etapowi reformy nastąpić ma odczuwana poprawa sytuacji. Pierwszym efektem tej propagandy było wykupienie na jesieni ze sklepów wszystkiego, co się nadawało jako lokata oszczędności. Ten paniczny wykup oceniany jest na 200 miliardów złotych. To fatalnie wróżyło powodzeniu reformy Sadowskiego, lecz profesor w dalszym ciągu zachował pewność siebie. Oto dowód naszej dobrej woli - mówił - płacimy za jawność naszych poczynań i godzimy się na tę cenę. Pewne zamieszanie przyniosły wyniki referendum, dzięki któremu rząd chciał uzyskać społeczną legitymację dla reformatorskich poczynań. Legitymacji nie uzyskał i pozostanie zadaniem historyków wyjaśnienie, co to się właściwie stało z wynikami listopadowego plebiscytu. Nie mniej ekipa robiła w dalszym ciągu dobrą minę do złej gry. Nieudane referendum nie zmieniło kierunku działań władz. W lutym i kwietniu nastąpiły zapowiedziane wcześniej podwyżki cen, a jednocześnie wypłacono pracownikom tzw dodatki osłonowe. Dodatki nie usatysfakcjonowały nikogo. Dla Sadowskiego były zbyt wysokie, aby manewr odniósł właściwy skutek ekonomiczny, dla pracowników zbyt niskie. Rozpoczął się wielki wyścig do kasy. Jak zwykle przodowały wielkie, mało efektywne mastodonty przemysłu ciężkiego. Jeszcze zanim doszło do strajków wzrost dochodów ludności przewyższył o kilka punktów wzrost cen. Efektem było rzecz jasna pogorszenie równowagi rynkowej. Słaba równowaga z trudem odbudowywana po roku 1982 załamała się. Jak na początek reformy zupełnie nieźle. W tej sytuacji doszło do strajków. Dwa z nich miały największe znaczenie polityczne, lecz strajkowa fala przetoczyła się przez cały kraj poprzedzając inną falę - dochodów, które nie znajdują dla siebie na rynku towaru, a przez to pogłębiają gospodarczy chaos. Sadowski na posiedzeniu Konsultacyjnej Rady Gospodarczej oświadczył, że podwyżka cen tego typu co w lutym i kwietniu jest już ostatnią i że więcej nie powinno się manewrów takich robić. Tym samym pośrednio przyznał, że ostatnia podwyżka była błędem, co od początku było oczywiście dla wszystkich, a czego nie rozumiał profesor jeszcze kilka miesięcy temu.

Moja krytyka manewru cenowo-dochodowego nie oznacza, że przeciwstawiam się w ogóle wzrostowi cen. W takiej sytuacji gospodarczej, w jakiej znajduje się Polska jest on nieuchronny, jak prawa przyrody, lecz w żadnym wypadku nie powinien mieć charakteru decyzji centralnych. Gdyby ceny zostały puszczone na żywioł, a jednocześnie wzrosłaby autonomia przedsiębiorstw, zlikwidowana została reglamentacja, obowiązkowe pośrednictwo, monopol skupu płodów rolnych i monopol państwowy na handel zagraniczny, wzrost cen będący następstwem tych posunięć miałby charakter uzdrawiający, choć być może byłby wyższy niż ten, dokonany centralnie. Tymczasem ekipa ze swym ekonomicznym ekspertem dokonała posunięcia najgorszego z możliwych. Niespodziewany dla ekipy wzrost inflacji w dwóch postaciach - wzrost cen i nierównowagi - skłonił rząd do podjęcia nadzwyczajnych środków "reformowania" gospodarki. Te nadzwyczajne środki oznaczają

powrót do ręcznego sterowania przedsiębiorstwami i w swej treści przypominają anty reformatorski pakiet ustaw zwany "lex Kubiczek", zablokowany przez proreformatorską część establishmentu na jesieni 1986 roku. Teraz wobec chaosu, groźby nowych strajków i niepewności jutra peerelowski sejm przyjął ustawę o nadzwyczajnych pełnomocnictwach w głosowaniu w stylu iście gierkowskim, przy dwu głosach wstrzymujących się.

Nieprzemysłanym posunięciem cenowym ekipa otworzyła puszkę Pandory, a nieszczęścia jakie z niej wyszły dotkną nas - społeczeństwo i władzę. Dziś ekipę uratować mógłby tylko cud. Również tylko cud mógłby uratować polską gospodarkę i społeczeństwo przed cywilizacyjną zapadłą. Przeżywamy więc dramat władzy i dramat społeczeństwa. O ile jednak rządząca ekipę oczekuje całkiem suita i przyjemna emerytura, to dla społeczeństwa nie ma ucieczki. W końcu 35 milionów ludzi nie może emigrować z Polski. Ta dość banalna refleksja zmusza nas do nieco innego spojrzenia na kryzys i na jego obecny etap. Nie ulega wątpliwości, że winę za kryzys ponoszą komuniści, lecz jego skutki spadną na nas. W związku z tym nie możemy pozostać obojętni wobec tego co się dzieje, czekając biernie na całkowite załamanie systemu.

Czy kryzys wymusi ewolucję?

Fakt, że ekipa Jaruzelskiego popełniła duże błędy w polityce gospodarczej, nie oznacza, że gdyby nie te błędy nie byłoby kryzysu. System komunistyczny doszedł do kresu swych możliwości we wszystkich europejskich krajach sowieckiego bloku i stoi wobec konieczności zreformowania się. W Polsce kryzys ten zaczął się najwcześniej i trwa najdłużej. W każdym kraju komunistycznym ma on swoją specyfikę. Ekipa Jaruzelskiego przez kilka lat wykazywała się dużą zręcznością w manipulowaniu społeczeństwem, dzięki czemu utrzymuje się przy władzy już 7 lat. To kurczowe trzymanie się władzy odbywa się kosztem społeczeństwa. Dzisiejsza władza nie realizuje już marksistowskich pryncypiów, godzi się na kompromisy w sferze ideologicznej, lecz utrzymując niesprawny system ekonomiczny powoduje demoralizację społeczeństwa. Wiele społecznych problemów jest załatwianych nie na zasadzie reguł, lecz na zasadzie wyjątków. Innymi słowy władza zezwala na istnienie wyjątków od reguł, także od pryncypiów komunistycznych, lecz nie legalizuje ich, niszcząc w ten sposób pozostałości prawnej kultury społeczeństwa. Przykładem tego są niemal wszystkie dziedziny społecznego życia. Zgodnie z obowiązującymi regułami nie można byłoby w ogóle zbudować domu, wyjechać za granicę, pojechać swym samochodem na wakacje. To, że życie społeczne jednak nie zatrzymało się to znaczy ludzie budują domy, wyjeżdżają, leczą się, studiuja, zarabiają itd. jest wynikiem zgody władz na działanie wbrew obowiązującym prawom. Dokonuje się komercjalizacja komunistycznych pryncypiów. Proces ten zaczął się zresztą już w czasach gierkowskich. Tak na przykład istnienie coraz szerszego rynku dolarowego w Polsce, związane z działaniem sklepów Pewexu oraz innych, gdzie obowiązują twarde waluty/ ma pewien doraźny sens ekonomiczny, lecz jednocześnie jest sprzeczne zarówno z ideologią władz jak i ze zdrową gospodarką. Wprowadzanie "wyjątków" od obowiązujących reguł ma dwa skutki: po pierwsze niszczy podstawy ideologiczne komunistycznej władzy, powoduje że struktura rządu staje się coraz mniej przejrzysta, a przez to władza mniej stabilna /mimo zręczności manipulacyjnych/, z drugiej zaś zanik kultury prawnej powoduje coraz wyraźniej patologię w życiu społecznym. Zdrowe i silne wewnętrznie społeczeństwo dawno już zdobyłoby się na pozbycie się władzy tak niepopularnej i źle rządzącej, jak komuniści /zwłaszcza obecna ekipa/. Władza zdaje sobie z tego sprawę i dlatego woli mieć do czynienia ze społeczeństwem o dużej skali anomii /dezinterpretacji wartości społecznych/ niż ze społeczeństwem zdrowym. W tym kontekście rozważyć należy twierdzenie niektórych socjologów i ekonomistów, iż społeczeństwo i gospodarka w Polsce zmierzają raczej do implozji niż eksplozji; rżn. załamanie nie przerodzi się w wybuch, który mógłby w każdym razie wytyczyć nowy etap rozwoju. Społeczeństwo po prostu może już nie mieć siły na jakikolwiek zryw, a postępy anomii i zatamizowania spowodują, że każdy będzie starał się ratować z tonącego okrętu na własną rękę. Rzecz jasna trudno jest z góry przesądzić, który trend weźmie górę, to jest czy szybciej będzie narastała demoralizacja i anomia, czy też frustracja, która przerodzić się może w bunt. W każdym razie przykład strajków majowych, dość łatwo sfumionych wskazuje, że groźba implozji jest zupełnie realna.

To wszystko nie przeczy rzecz jasna poprzednim twierdzeniom o rychłym końcu ekipy Jaruzelskiego, która zapłaci za narastający kryzys komunizmu i za subiektywne błędy. Pozostaje jednak pytanie, co dalej? Perspektywa implozji nie musi być dla całej komunistycznej emiry pociągająca. Oczywiście, że gdyby mieli do wyboru eksplozję dziś, czy implozję trwającą lat 20 wybnaliby to drugie, lecz załamanie cywilizacyjne nie

leży wcale w interesie władzy. Rządzący /czy może w ogóle politycy/ mają dwa cele. Pierwszym jest utrzymanie się przy władzy, drugim optymalizacja przedmiotu władzy. Cele te są czasami sprzeczne /komuniści jak wykazałem raczej celowo psują układ, którym kierują aby utrzymać się przy władzy/, jednak długo trwająca sprzeczność jest również dla władzy frustrująca. Przejawem tej frustracji jest krążący po kraju memoriał Rakowskiego, jakby nie było człowieka roku 1982, domagający się zdecydowanych zmian w polityce wewnętrznej i poważnego podejścia do rozwiązywanego kryzysu. Inna rzecz, że Rakowski nie ma żadnego pomysłu, jak się za to zabrać. Koniec ekipy Jaruzelskiego będzie wynikiem między innymi tych frustracji.

Zmiana ekipy nie musi oznaczać zmiany polityki prowadzonej przez władzę, a tym bardziej zmiany zasad na których władza się opiera, to jest odejścia od podstaw komunizmu. W ostatnich latach uczyniono jednak w tym kierunku sporo. Po pierwsze po raz pierwszy w historii PRL hasłem legitymizującym ekipę stała się *r e f o r m a*. Po drugie analogiczne hasła pojawiły się i w innych krajach bloku sowieckiego, z samym ZSRR na czele. Po trzecie, reforma została określona jako zespół działań w stronę gospodarki rynkowej, nie zaś w stronę "prawdziwego socjalizmu", jak to miało miejsce z hasłami innych ekip. Po czwarte w końcu, reforma poniosła klęskę, lecz nie jako hasło, lecz w sferze realizacji. Każda ekipa, która przyjdzie po sprawującej dziś władzę musi hasło to podjąć, a co więcej, musi je realizować. Reforma poniosła klęskę ponieważ była realizowana nieudolnie, a przede wszystkim dlatego, że się zatrzymała w pół drogi. Doprowadziła do dużej samodzielności przedsiębiorstw, lecz nie dotknęła w ogóle sprawy uwłaszczenia gospodarki. Uwłaszczenie leży już poza pryncypiami komunistycznymi, lecz aby reforma miała sens krok ten musi być zrobiony. Jeżeli się to stanie komunizm przekształci się w inny system. Niezależnie od regulacji politycznych krok taki byłby najważniejszym na drodze do państwa cywilizowanego. Czy krok taki jest nieprawdopodobny? Napewno wciąż mało prawdopodobny, ale prawdopodobniejszy niż kiedykolwiek. Otwiera się więc nowa możliwość, przedtem nie istniejąca, którą opozycja polska musi brać pod uwagę, niezależnie od radykalności swych poglądów.

Opozycja w schyłkowym okresie komunizmu.

Ukształtowana po okresie Solidarności opozycja przekształciła się w grupę /różnej grupy/ wyizolowaną. Jest ona wyizolowana ze społeczeństwa, to jest ma niewielki wpływ na realne zachowanie się ludzi, czego dowodem były słabe związki strajkujących z opozycją /związki te nasilały się wprawdzie w miarę jak strajki trwały, lecz to nie opozycja była ich animatorem/, nie jest też w stanie zająć "konstruktynego" stanowiska w jakiegokolwiek sprawie, dotyczącej problemów społecznych. Podstawowym założeniem opozycji jest obalenie komunizmu. Tak maksymalistyczny cel wobec jego tymczasowej nierealności spycha opozycyjnych polityków do działalności teoretycznej, programowej /to w najlepszym wypadku/ lub do polityki kanapowej. Opozycja nie mając realnego zaplecza społecznego nie bierze odpowiedzialności za cokolwiek. Jedyną jej strategią polityczną /o ile w ogóle można użyć tego słowa/ jest oczekiwanie na upadek komunizmu. Kibicuje więc wydarzeniom politycznym z pewną nadzieją przyjmując każde niepowodzenia komunistów. W taki też sposób zostały przywitane strajki. Opozycja jakby zapominała o grożącym nam wariacie implozji - stopniowego pogrążania się kraju /władzy, gospodarki, prawa, społeczeństwa/ w chaosie. Tymczasem efektem strajków będzie oprócz prawdopodobnej dekompozycji rządzącej ekipy, dalsze pogłębienie gospodarczego chaosu. Być może przybliży to upadek komunizmu, być może jego przekształcenie w system autorytarny ze zdrowymi podstawami gospodarczymi, a być może sprawa bardziej realnym wariant implozji. Nie zamierzam w tym artykule analizować prawdopodobieństwa tych trzech możliwości, lecz one istnieją /istnieją także inne/, zanim więc poprzemy "słuszne żądania klasy robotniczej" warto byśmy się zastanowili co z nich może wyniknąć. Zwłaszcza, że wobec nikłego wpływu na społeczne zachowania opozycja ma niewiele do stracenia i nie musi się zachowywać jak polityk walczący o głosy wyborców.

W historycznym rozwoju występuje zwykle kilka trendów. Polityk musi wybrać, które z nich są silniejsze, które wyprzedzają inne, które zaś są tylko pozorne. Jednym z trendów ważnych dla sytuacji Polski jest zmierzch komunizmu. Komunizm przeszedł już przez swą fazę dynamiczną, szczyt możliwości ma za sobą, w tej chwili walczy o przetrwanie. Walka ta jest kosztowna głównie dla społeczeństw poddanych komunistycznemu eksperymentowi. Drugim ważnym trendem jest katastrofalne pogarszanie się stanu społeczeństwa i gospodarki. Powstaje podstawowe pytanie. Czy jest lepiej, gdy stan

ten jest jak najgorszy, czy jak najlepszy. Opozycja zwykle daje odpowiedź pierwszą. Stanowisko takie jest raczej emocjonalne niż pragmatyczne. Pogarszanie tego stanu grozi bowiem nieodwracalnym być może cofnięciem cywilizacyjnym. Poza tym wcale nie musi przyczyniać się do szybszego upadku komunizmu. Jeżeli jednak zależy nam na poprawie stanu społeczeństwa, gospodarki, państwa i prawa, nie możemy być tylko kibicami wydarzeń bieżących. Przykład "WiP"u dowodzi, że nawet w obecnej sytuacji opozycja może mieć autentyczne sukcesy.

Nie są to łatwe dylematy i nie dają tu jednoznacznych na nie odpowiedzi. Być może najlepszym wyjściem byłoby większe rozproszenie programów opozycyjnych, a przede wszystkim jaśniejsze określenie tych programów. Nie powinny być one tylko katalogiem słusznych wartości i haseł. Nie mogą też nastawiać się jedynie na wariant idealny, w którym my wygrywamy wszystko i nie płacimy za to niczego. Takie bowiem programy mimo ich urody cechują politycznych amatorów, a polska polityka potrzebuje zawodowców.

Janusz NOWICKI

Z PERSPEKTYWY PROWINCJI:

KLIKA W STADIUM MAFII

przedruk: "GAZETA PODZIEMNA" - "SOLIDARNOSC" ZIEMI KUTNOWSKIEJ, 15/1988.

"Komuniści utzymując władzę siłą i wbrew społeczeństwu są szczególnie wrażliwi na pozory legalności i prawomocności dyktatury, którą ukrywają za fasadami "konstytucyjnych" i "demokratycznych" instytucji.

Taką atrapą, jedną z najważniejszych dla PZPR w sprawowaniu władzy terytorialnej jest rada narodowa. Formalnie jest to najwyższa władza terenowa, wobec której naczelnik/prezydent/ spełnia rolę ciała wykonawczego. W rzeczywistości rządzi komitet w układzie z mniej lub bardziej podporządkowanym prezydentem. Rada narodowa jest natomiast miejscem gdzie nakazy i polecenia partyjne przekształcane zostają w uchwały o "mocy prawnej" przez akceptację "mandatariuszy" danej społeczności. Dla PZPR jest to punkt neuralgiczny: tu bowiem dyktatura nabiera pozorów demokracji i uzyskuje formalną prawomocność.

W połowie lat 70-tych, kiedy do konstytucji wprowadzono poprawkę o przewodniej sile ^{PZPR we} wszystkich ogniwach samorządu terytorialnego, I-si sekretarze zostali "jednogłośnie" wybrani na przewodniczących rad narodowych. Miało to wyjątkowo dużą funkcjonalność dla partii, ze względu na "prawne" podporządkowanie naczelnika/prezydenta/ bezpośrednio I-mu sekretarzowi. Tak eleganckiego przełożenia władzy komitetu na administrację nie osiągnęła PZPR nigdy przedtem ani potem.

Na papierze zakres władzy rad narodowych nie jest wcale taki mały, a nowa ustawa może go jeszcze zwiększyć. W rzeczywistości jest i będzie pustą, martwą formą uruchamianą nakazami komitetów.

"Najczulszym ogniwem w systemie podziału terytorialnego kraju jest niewątpliwie ogniwo najniższe - napisał prof. J. Służewski, partyjny teoretyk samorządności terytorialnej - ze względu na to, że organizowane i działające na jego podstawie organy państwowe są najbardziej zbliżone do obywateli".

Mniemanie, że PZPR pozwoli zbliżyć się "Solidarności" do tak "czułego miejsca" - jakie legło u podstaw propozycji włączenia się Związku w wybory do rad narodowych - technie świętą naiwnością i nieznaną rzeczywistości. Z perspektywy prowincji widać to szczególnie ostro.

Partia obawiając się obywatelskiej emancypacji społeczeństwa zrobi wszystko, aby nie dopuścić do "najczulszego ogniwa", na salę rady narodowej, ludzi niezależnie myślących, którzy mogliby poważnie potraktować swoje mandaty.

Dlatego do "odpowiedniego" doboru radnych PZPR przykładła zawsze dużą wagę. Radny, który wykazuje tendencję do niebezpiecznej samodzielności /rzadkość/ jest natychmiast paraliżowany i niknie po pierwszej kadencji.

Selekcja negatywna wytworzyła typ wiecznego radnego, człowieka nijakiego, umiętego za to dobrze dopasować się do wyznaczonej roli i śpiewać w chórze lub solo z nut przyniesionych z komitetu.

Rady narodowe w PRL, szczególnie w prowincjonalnym wydaniu, to martwy zlepienie bez nazwisk i postaci. Najczęstszą reakcją widoczną na obliczu peerelowskiego radnego jest walka ze snem.

W kutnowskim urządzie miasta krążyło zdjęcie wykonane w trakcie obrad rady narodowej, na którym fotograf utrwalił pochylone głowy i otwarte usta uspijonych mandatariuszy społeczeństwa.

Budzą się rzadko: gdy nadchodzi ich kolej odczytania czegoś z kartki, albo aby zgłosić skargę na dziurę w jezdni czy zepsutą lampę. To jest dozwolone pasmo indywidualnej aktywności radnego. Wolno im również, od czasu do czasu, ogólnie podyskutować o trzeciorzędnych problemach i detalach spraw pierwszoplanowych.

Są narzędziem do podnoszenia na komendę rąk i "przegłosowywania" uchwał, których treści albo nie znają, albo nie rozumieją. Jeden z poprzednich przewodniczących kuthowskiej rady narodowej indagowany w sprawie uchwały, co do której istniały obawy, że jej radni nie przegłosują odpowiedział: "Nie przegłosują? Pan chyba żartuje!"

Smieszne wydają się ekscytacje wielu środowisk opozycji z powodu zwiększenia uprawnień rad narodowych. Przecież te wszystkie uprawnienia powiększą zakres władzy komitetów i podporządkowanych im prezydentów! Senni mandatariusze odczują to, najwyżej, jako przedłużenie kontaktu z twardą płaszczyzną krzesła.

Co więcej, poszerzenie uprawnień lokalnych samorządów /czytaj: komitetów PZPR/ przy braku choćby szcztąkowej, ale autentycznej reprezentacji społecznej, niezależnej kontroli oraz legalnych form działania opozycji - może doprowadzić do groźnych dla społeczności lokalnych zjawisk, a życie bezbronnym mieszkańców prowincji uczynić jeszcze bardziej nie do zniesienia.

Zwróciła na to uwagę Joanna Matt w 237 nr "Tygodnika Mazowsze", ostrzegając, że niekontrolowana "samorządność" doprowadzi do scementowania regionalnych klik. Autorka myli się tylko w definicji zjawiska. Kliki partyjno-administracyjne rządzą - także przez rady narodowe - polską prowincją od dawna i nieprzerwanie. Teraz będą miały okazję, dzięki zwiększonemu zakresowi uprawnień, przepoczwarzyć się w lokalne mafie.

Polemizujący z pesymistyczną, acz naszym zdaniem, słuszną oceną Joanny Matt, Aleksander Paszyński w 238 nr "Tygodnika Mazowsze", nie rozumiejąc /?/ rzeczywistej roli rad narodowych w strukturze władzy komunistów, napisał: "bardziej niezależne /być może/ rady narodowe powinny stać się czynnikiem przyspieszającym niezbędne zmiany". Paszyński opowiadając się w zasadzie za udziałem "S" w wyborach, oparł się na doświadczeniach z autentycznych batalii o komitety osiedlowe jakie często mają miejsce w Warszawie. Zaproponował powtórzenie tej samej taktyki w wyborach do rad narodowych. I tu uległ iluzji: są to - z rzeczywistości z pozoru podobne, nie porównywalne jednak. Wybory do komitetów osiedlowych odbywają się bezpośrednio na sali, a mandat może zdobyć praktycznie każdy zainteresowany. Takiej możliwości nie daje ordynacja wyborcza do rad narodowych, wprowadza natomiast dodatkowe służy i sita.

Poza wszystkim, nie bierzmy komunistów za ostatnich głupców, którym najpierw ujawnia się zamiar zamachu na ich "najczulsze miejsce" i przedstawia w naiwne szczerych dyskusjach warianty własnej strategii, a później oczekuje samobójczego przyzwolenia.

Deliberacja o stanowisku "S" wobec nadchodzących wyborów - "uczestniczyć, czy bojkotować" jest jednym z wątków zasadniczej dyskusji o stosunku Związku do realnego socjalizmu w którym musimy żyć. Jest o nią na rzecz zrodzonej w warszawskim środowisku formuły: "opozycja nie jest negacją" w której dostrzega się min. szansę na "drugi oddech" dla naszego ruchu.

Jednakże wybór na pierwsze TAK został dokonany wyjątkowo nietrafnie; co gorsza, może on rzutować negatywnie na ogólnie słuszną koncepcję wyjścia "S" z okopów stanu wojennego i paraliżu programowej negacji.

W perspektywie prowincji, gdzie koszmarny świat komitetów, prezydów, rad i urzędów prezydenckich udczuwany jest o wiele bardziej bezpośrednio i osobiście, nie ma - niestety - alternatywy "uczestniczyć czy bojkotować". Sprawa jest jasna. Choć równie zmęczeni jesteśmy powtarzaniem tego NIE, innego wyjścia nie mamy.

Trudno spodziewać się, abyśmy za cenę poparcia jakiegoś /względnie/ "sprawiedliwego w Sodomie" wyrazili frekwencją wyborczą akceptację dla lokalnej kliki wchodzącej w stadium mafii.

Turbc

BOJKOT "WYBORÓW"

Zapowiedzane na czerwiec "wybory" do samorządu terytorialnego - tzw. Rad Narodowych to kolejna orwellowska manipulacja zafundowana nam, dodatkowo za nasze pieniądze, przez komunistów. Rady Narodowe nie są bowiem samorządem terytorialnym, a instytucją gdzie "dyktatura nabiera pozorów demokracji i uzyskuje formalną prawomocność" /patrz artykuł wyżej/. Czerwcowe "wybory" mimo szeroko reklamowanych zmian w ordynacji, nie są wyborami a imprezą pod wybory się podszywającą.

Z wyborami immanentnie związane są bowiem:

Wolność zgłaszania kandydatów, np. przez grupy obywateli potwierdzających swój wybór własnym podpisem.

Wolność głosowania polegająca na swobodzie wyboru wśród wszystkich zgłoszonych kandydatów związana z likwidacją osławionych par "wyborczych".

Wolność kontroli wyników polegająca na obecności mężów zaufania społeczeństwa w komisjach wyborczych i na dostępności szczegółowych danych wyborczych i wyników wyborów, także, a może przede wszystkim dotyczących punktów głosowania.

Ponieważ żaden z powyższych postulatów nie ma najmniejszych nawet szans na realizację w "wyborach" 1988 roku jedyną możliwą odpowiedzią na komunistyczną imprezę propagandową pozostaje taktyka wielokrotnie już wypróbowana - B O J K O T !!!

"NIEPODLEGŁOŚĆ" ORGANIZACJA LIBERALNYCH
DEMOKRATÓW

"MIRAŻE" NIEPODLEGŁOŚCI

Cztery lata temu publikując tezy programowe Liberalno-Demokratycznej Partii "Niepodległość" za punkt docelowy naszej działalności politycznej przyjęliśmy wywalczenie przez Polaków niezawisłości politycznej i suwerenności wewnętrznej kraju. Miał to być, w naszym rozumieniu, punkt zwrotny, zaistnienie nowej jakościowo sytuacji politycznej warunkowałoby pełne przemiany społeczne i gospodarcze. Bez uzyskania niepodległości nie widzieliśmy żadnych szans na cywilizacyjny rozwój Polski. Panowanie w naszym kraju komunizmu i brak niepodległości uznaliśmy za zjawiska tożsame, ponieważ ustrój realnego socjalizmu w Polsce wynikał z politycznego i gospodarczego uzależnienia Polski od Związku Radzieckiego. Rozumowanie takie musiało doprowadzić do jedynego wniosku. Całkowite odsunięcie wpływu Związku Sowieckiego na sprawę polskie, to automatyczny upadek peerelowskiego komunizmu i możliwość budowania zrębów ustroju parlamentarnej demokracji.

W euforii "Solidarności" i pierwszych miesiący a nawet lat stanu wojennego realność upadku ustroju komunistycznego wydawała się bardzo bliska. Co trzeźwiejsi przestrzegali, że komunizm może funkcjonować wiele dziesiątków lat nawet w sytuacji permanentnego kryzysu gdyż jego istnienie podtrzymuje dobrze zorganizowana w tym ustroju sfera wojskowo-policyjna. A poza tym 36 milionów Polaków nie wyemigruje z dnia na dzień z kraju, a pozostając na miejscu musi przecież pracować w większości w państwowych zakładach pracy, w państwowych urzędach wykonując tym samym pracę, która wprawdzie im samym daje tylko możliwość przetrwania, ale przy tym utrzymuje komunizm przy życiu.

Od ogłoszenia tez programowych minęły prawie cztery lata. W naszym czasopiśmie temat niepodległości i komunizmu powrócił na nowo. Nie da się ukryć, że przez ten czas w Polsce wiele się zmieniło. Wypuszczono więźniów politycznych, zelżała cenzura, rodzą się indywidualne inicjatywy społeczne i gospodarcze, środki masowego przekazu zachęcają wręcz ludzi do krytyki. Po staremu gnębi Polskę z miesiąca na miesiąc pogłębiający się kryzys polityczny i gospodarczy. Inicjatywy władz albo okazują się chybiene, tak jak było z I i II etapem reformy, albo niewystarczające, wręcz - kosmetyczne, jak rodzące się z bólem ustawy sejmowe, albo nie znajdują żadnego poparcia społecznego, co wykazały wyniki ubiegłorocznego referendum. Rozdźwięk między elitami politycznymi Polski a samą władzą, pomimo karkołomnych wysiłków tych pierwszych, aby odwrócić sytuację, nie maleje lecz wciąż rośnie. Za ten stan izolacji odpowiedzialna jest w całości władza, gdyż manifestacyjnie odcina się od szansy jakiegokolwiek porozumienia. Pomimo nieistotnych i mało znaczących retuszy władza pozostała władzą komunistyczną ze wszelkimi jej atrybutami. I właśnie dlatego, że pozostała komunistyczną nie będzie jej dzielić z żadnym partnerem.

Niektórzy w Polsce sądzą, że główny wysiłek opozycji powinien być ukierunkowany na realistyczne możliwości zwalczania komunizmu, marnotrawiony na nic nie wnoszące odmienianie niepodległości przez wszystkie przypadki. Za podstawę swego rozumowania podają przykład Finlandii, kraju, który nie można nazwać w pełni suwerennym, a mimo to uznawanym za własny przez swych obywateli. Możliwość finlandyzacji Polski osobiście uznałbym za rzecz godną akceptacji, jako etap do pełnej niezawisłości. Nie są to hasła nowe - zrodziły się one w czasie funkcjonowania "Solidarności". Własny polski rząd, wolne wybory, polski parlament, wolna gospodarka, brak sowieckich dywizji i układ o przyjaźni i współpracy ze wschodnim sąsiadem. Tak, z pewnością byłoby to własny kraj, własne państwo, chociaż w polityce zagranicznej nie

w pełni suwerenne. Niestety Polska to nie Finlandia i najprawdopodobniej nigdy Finlandią nie będzie. Z tego musimy zdawać sobie sprawę. Sowieci nie wypuszczą dobrowolnie z politycznych kleszczy Europy Środkowo-Wschodniej. Status Finlandii w 1956 r. chcieli uzyskać Węgrzy, ogłaszając wyjście z Układu Warszawskiego i neutralność kraju. Próby zakończyły się inwazją. Mniej od Węgrów żądali Czechosłowacy w 1968 r., nie pozwolono im nawet na tzw. "komunizm z ludzką twarzą". Dopóki we współczesnym świecie będą istnieć wojskowe pakti, dopóki szczelna granica będzie oddzielać imperium sowieckie od Europy Zachodniej, dopóki będą przestrzegane nieszczęsne ustalenia jałtańskie, dopóty Sowieci europejskie kraje zniewolone traktować będą jako swoją sferę wpływów.

W tym politycznym kontekście Polska nie ma żadnych szans uzyskać statusu ani Finlandii, ani nawet Jugosławii, poronionego eksperymentu rodzimego komunizmu. Walka z ustrojem komunistycznym w Polsce ma bardzo krótką historię. Negacja ustroju wyszła od polskiej prawicy, a swój pełniejszy wyraz uzyskała w programach prawicowych organizacji niepodległościowych. W tej chwili koncepcja ta powoli staje się własnością całej polskiej opozycji niezależnie od zabarwienia ideowego. Eksperymenty z ewolucją komunizmu na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat to jedno wielkie pasmo niepowodzeń. Osobiście jestem przekonany, że wszelkie aktualne próby również skończą się fiaskiem. Dla komunistów mają one jednak wielkie znaczenie. Rozmydlają radykalne nastroje społeczne, dezintegrują opozycję i zalewają wielością niepotrzebnych słów prawdziwe problemy Polski. Jest to swoisty wentyl bezpieczeństwa dla władzy, pozwalający ją sprawować bez uciekania się do zmasowanego użycia siły, natomiast polskich problemów nie posuwa ani na krok. Polsce ucieka bardzo cenny czas, a dystans cywilizacyjny między nami a światem pogłębia się bardzo niebezpiecznie.

Moim zdaniem komunizm jako ustrój społeczno-gospodarczy nie jest w stanie ewoluować w kierunku jakiegokolwiek tam funkcjonalności. Każda sensowna reforma musi podmyć filary na których on się opiera. Odsunięcie komunizmu od działalności gospodarczej, niezbędne by jej stan się poprawił, pozbawi go najistotniejszego elementu sterowania postawami i zachowaniami ludzkimi, a ludzi z aparatu partyjnego i administracyjnego przywilejów i gratyfikacji. Wyrugowanie komunistów z kultury i propagandy załamanie tzw. "komunistyczny rząd dusz". Nie jest prawdą, że propagandna komunistyczna jest zupełnie nieskuteczna. Ostatnie wydarzenia majowe, t.zn brak poparcia dla strajkujących robotników i studentów mają również swoje przyczyny w antystrajkowej propagandzie. Ustrój komunistyczny w swojej pragmatyce jest ustrojem totalitarnym, a więc wszechogarniającym, nie pozostawiającym jednostce i niezależnym grupom społecznym zbyt wielkiego pola manewru. Każda reforma, a Polsce potrzebna jest radykalna reforma polityczna musi w swoich założeniach uderzyć w podwaliny stabilizujące ustrój. Kto taką reformę ma skonceptualizować i zastosować w praktyce? Komuniści. Nie będą oni przecież prowadzić do unicestwienia samych siebie. Są w pełni poza tym przekonani, że zawsze mogą liczyć na internalistyczną pomoc ze Wschodu, nawet w epoce rządów Gorbaczowa. Interes imperium jest i będzie stawiany na naczelnym miejscu.

Walka z komunizmem jest rzeczą istotną, nawet wówczas gdy jest prowadzona w cząstkowych wymiarach. Nie mamy innego wyjścia jak tylko bróbować wydzierać rządzącym nowe pola aktywności jednostkowej i zbiorowej. Działalność taka jest potrzebna, choćby dla usensowienia istnienia i prestiżu polskiej opozycji. Na co możemy liczyć? Na lokalne sukcesy, maleńkie zwycięstwa, na trochę satysfakcji w przypadku wycofania się władzy z ewidentnych bzdur. Sukcesy znaczące ważące na losach kraju chyba nie staną się naszym udziałem.

Sukcesem w warunkach braku całkowitego wpływu na decyzje i posunięcia władz jest sam fakt, że istnieją ludzie, którzy pomimo ograniczeń nie godzą się z rzeczywistością, w której są zmuszeni żyć i tam gdzie jest to możliwe starają się lansować własny pogląd na sprawy i wymuszać na władzy ustępstwa. Praktyczna niemożliwość komunizmu jako metody i sposobu zarządzania państwem, w polskich warunkach nierozłącznie wiąże się z brakiem niepodległości kraju. Całkowity upadek ustroju może nastąpić tylko w sytuacji uzyskania przez Polaków wewnętrznego stanowienia o własnych sprawach. Walka z komunizmem niewątpliwie ten czas przybliży, a proces ten może zakończyć jedynie niepodległość państwa. Bez niepodległości jesteśmy skazani na komunizm. Upadek polskiego komunizmu wależy wiązać z upadkiem komunizmu przynajmniej w całej Europie Środkowej i uzyskaniem przez te kraje niepodległości. Polska, wbrew niektórym optymistom, będzie tylko jednym z krajów uzyskujących suwerenność narodową, nie stanie się natomiast wolną enklawą w morzu interesów sowieckich.

Wróćmy jednak do intencji tego satykułu. Walka z komunizmem, czy walka o niepodległość? W naszej polskiej rzeczywistości ten dylemat nie ma praktycznego znaczenia. Domagając się niepodległości kraju mamy na myśli Polskę niekomunistyczną, a ograniczając naszymi postawami i działaniami ekspansję ideologii i praktyki komunistycznej, przygotowujemy podatny grunt do generalnej rozprawy z ustrojem. Teraz, dzisiaj i jutro możemy i musimy ograniczać funkcjonowanie komunistycznej doktryny w Polsce, pojutrze po odzyskaniu przez nasz kraj niepodległości musimy ten ustrój obalić. Jego funkcjonowanie bezpośrednio wiąże się z sytuacją Polski jako kraju zniewolonego, niesuwerennego, rządzonego przez bezpośrednich wykonawców interesów Związku Radzieckiego.

Cyryl CYWILNY

WOKOŁ "BIAŁYCH PLAM" cz. II /1/

Emocjonalne podejście Polaków do tzw. "białych plam" w stosunkach polsko-sowieckich jest zupełnie naturalne. "Białe plamy" to przecież eufemistyczne określenie sowieckich zbrodni, zarówno politycznych /17 września, proces 16-tu/ jak i masowych morderstw /deportacje, Katyń/ czyli wydarzeń głęboko tkwiących w nabolącej świadomości Polaków. Wiedza o nich, nawet cząstkowa, początkowo przekazywana z ust do ust w nocnych rodaków rozmowach, później zaś z rąk do rąk w zadrukowanych arkuszach biuły miała swoje znaczenie polityczne. Impregnowała szerokie warstwy społeczeństwa polskiego przed sowieckim komunizmem. Konfrontacja wyniesionej z domu i kontaktów prywatnych wiedzy o stosunkach polsko-sowieckich z ordynarnie zafałszowywanym ich obrazem we wszystkich sferach życia publicznego - w szkole, gazecie, kinie, podczas publicznych wystąpień wywoływało szczególnie silne frustracje manifestujące się alergiczną niemal antyrosyjskością i antyradzieckością. W przypadku wojny z Rosją i Niemcami - mówił popularny dowcip - najpierw bić będziemy Niemców. Przede wszystkim bowiem obowiązek, przyjemność potem.

Nic więc dziwnego, że ostatnie publikacje dotyczące najnowszej historii Polski - a zwłaszcza jej aspektu sowieckiego - przyjmowane są z ogromnym zainteresowaniem. Emocjonalny odbiór po raz pierwszy publicznie ujawnianych rewelacji, choć zrozumiały, związany jest jednak z pewnymi niebezpieczeństwami:

- Z niebezpieczeństwem przeoczenia komunistycznych manipulacji czynionych przy okazji likwidacji "białych plam". Właśnie w I części tych rozważań, zamieszczonych w poprzednim numerze "N", zwracaliśmy uwagę, iż podczas intensywnej, jak by nie było destalinizacji, udać się może Gorbaczowowi manewr wypienia się od odpowiedzialności za sowieckie zbrodnie poprzez przerwienie jej na Józefa Stalina /.../. Co oczywiście byłoby dalszym fałszowaniem historii, bardziej tylko finezyjnym. Nie będzie się już bowiem zaprzeczać powszechnie znanym faktom, nieuczciwie się je tylko interpretuje, szeroko wykorzystując instytucję kozłów ofiarnych, do której to roli pretendenta kalibru Stalina, Berii czy Mołotowa jest multum.

+ Z niebezpieczeństwem mniej czy bardziej świadomej zgody na przemilczenie części "białych plam" w stosunkach sowiecko-polskich, a raczej komunistyczno-polskich. Mają one bowiem jak gdyby dwa wymiary. Zewnętrzny właśnie dotyczy stosunków sowiecko-polskich i wewnętrzny odnoszący się do polityki PPRu i PZPRu wobec Polaków.

Zastanawiające jest bowiem, że o ile na temat zbrodni sowieckich dowiedzieć się ze źródeł oficjalnych można już wiele /2/, choć i tu istnieją obszary tabu /3/, o tyle przemilcza się zbrodnie dokonane na narodzie polskim przez rządzących od ponad czterdziestu lat komunistów. W szczególności zafałszowuje się w starym stylu cały kompleks spraw związanych z t.zw. "zdobyciem i utrwaleniem władzy ludowej". Lokalni przywódcy - Towarzysze Wiesław /Gomułka/ i Tomasz /Bierut/ to nadal bohaterowie pozytywni, masowe zbrodnie to niegodne uwagi wypaczenia, katastrofalna na każdym polu działalność partii komunistycznej to służba narodowi. Na pierwszy rzut oka jest to

/1/ Część I-sza - patrz "N" nr 76, kwiecień 1988, str. 9

/2/ Jeśli nie zupełnie wprost, to między wierszami. Tak jest na przykład w kwestii katyńskiej. Już twierdzenie, iż jest to trudny problem w stosunkach polsko-sowieckich jest właściwie jednoroznaczne. Na czym bowiem polegałaby jego trudność, gdyby było prawdą iż polskich jeńców wymordowali Niemcy...

/3/ Na przykład kwestia represji sowieckich wobec ludności polskiej w roku 1944. Casus Gib jest tu szczególnie wymowny. Zwłaszcza wobec słabego rezonansu tej kwestii w prasie niezależnej. Właściwie konsekwentnie zajmuje się nią w kolejnych numerach tylko "SOLIDARNOSC RABIA I TELEWIZJI".

niezrozumiałe. Oczywiście jest przecież, że w tym względzie peerelowscy komuniści są suwerenni. Oni sami decydują czy i ile wiader brudnej wody wylać na głowy lokalnych atalinków, które "białe plamy" w historii peerelu zwolnić do likwidacji, którym ich ofiarom oddać publiczną sprawiedliwość. W te szczegóły Gorbaczow się napewno nie wtrąca. Dlaczego więc nie skorzystać z okazji i nie przyznać się hurtem do wszystkiego. Zwłaszcza, że zbrodnie sowieckie odwróciłyby w części przynajmniej, uwagę od sprawek ich peerelowskich adherentów.

Myślę, że związana jest to ze słabym punktem peerelowskich komunistów - z kwestią legitymizacji ich władzy, zarówno w sferze politycznej jak i ideologicznej. Sowiety przypadłością tą nie są obciążone. W sferze politycznej ich władzę legitymizuje rewolucja, którą wygrali własnymi siłami, w sferze ideologicznej Lenin - idol bez wątpliwości i bez skazy, norma do której zawsze można powracać. Peerelowskich komunistów legitymizują wygrane Referendum i Wybory oraz zasługi poniesione w służbie narodowi. Jakie są te zasługi każdy widzi, jakie więc przyznać się do sfałszowania Referendum i Wyborów, do policyjnego i fizycznego zdławienia opozycji, do wymordowania dziesiątek jeśli nie setek tysięcy politycznych i ideowych przeciwników. Zwłaszcza, jeśli na tych, którzy próbują tu władzy podkoczyć ma się i policję i cenzurę... i specjalnie nawet z obu tych instytucji korzystać nie trzeba. Rzecz w tym bowiem, że emocjonując się tym co nam w materii "białych plam" komuniści dają po dobroci, nie dociskając ich do muru, sami im ułatwiamy życie.

Tymczasem nasz - społeczny - program w kwestii likwidacji "białych plam" adresowany być powinien zarówno do gorbaczowowskich Sowietów jak i do peerelowskich władz. Postulaty dotyczące "białych plam" w stosunkach polsko-sowieckich sformułowaliśmy w I cz. tego artykułu. Te odnoszące się do działalności peerelowskich komunistów mogłyby dotyczyć następujących kwestii:

1. Ujawnienie faktów i okoliczności związanych z przejęciem władzy w Polsce przez PKWN i TRJN, w szczególności z likwidacją opozycji politycznej oraz z Referendum i Wyborami.
2. Ujawnienie faktów i okoliczności związanych ze stosowaniem fizycznego terrorku wobec przeciwników ideowych i politycznych, w szczególności opublikowanie możliwie pełnej listy wymordowanych, poległych, zamęczonych i straconych.
3. Ujawnienie inspiratorów, wykonawców i zleceńodawców tych zbrodni oraz ukaranie ich /tak jak karze się do dziś zbrodniarzy nazistowskich/ o ile to możliwe.
4. Podjęcia działań mających na celu jak najszybsze finansowe i prawne zadośćuczynienie ofiarom i ich rodzinom.
5. Podjęcie działań mających na celu zgodne z polskimi tradycjami upamiętnienie zbrodni oraz uczczenie ich ofiar, w szczególności ekshumacji potajemnie pochowanych i ponownego ich złożenia, być może na specjalnych cmentarzach - pamiątkach po czasach pogardy.
6. Opublikowanie w masowych nakładach prac informujących o rzeczywistym przebiegu wydarzeń związanych z przejęciem władzy w Polsce przez PPR i PZPR.

Przy czym nie należy się przejmować niewielką jak narazie realnością takiego programu. Jeśli będziemy się przy nim upierać stanie się on realny szybciej niż myślimy. Jeśli nie w całości to przynajmniej w częściach na tyle istotnych by gra była warta świeczki.

Artur WIECZYSTY

KOMENTARZ NAJBARDZIEJ ZAJADŁEGO CZŁONKA REDAKCJI:

Polskie /niezależne/ głosy przestrzegające Polaków przed zbyt radykalnymi działaniami - to znaczy przed domaganiami się elementarnych praw ludzkich - ponieważ zaszkodzić mogą pieriestrijce w Sowietach i Gorbaczowowi osobiście. Nie powimy ani zdumiewać ani oburzać.

Nie powimy dążyć, ponieważ postawa taka, czasami określana jako "samoobsługa systemu" jest nagminna, zwłaszcza w kręgach intelektualnych. Ileż to razy spotykaliśmy się już i ile razy spotkamy jeszcze z głosami przestrzegającymi przed podjęciem działań merytorycznie uzasadnionych ale dla czerwonych nie do przyjęcia...

Nie powinna oburzać, skoro nie oburza nas wyzywanie do porozumienia narodowego kosztem naszych niezwykłych praw. W czymże bowiem Jaruzelski lepszy jest od Gorbaczowa?

ALI GATOR

"Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, demokratyczny kapitalizm poniesie na Śad Ostateczny ciężkie brzemie. Jego zasadnicza struktura okazała się produktywna, jego swobody szerokie, w konsekwencji jego odpowiedzialność jest wielka. Gdyby eksperyment się nie powiódł, gdyby Stany Zjednoczone pozostały prymitywnym, źle rządzone, biedującym i anarchicznym krajem, świat może bardziej by je kochał. Gdyby Stany Zjednoczone nie potrafiły rządzić się same, świat nie zwracałby się do nich o przywództwo. Gdyby Stany Zjednoczone pozostały biedne, nikt nie zrzuciłby na nie winy za własne ubóstwo. To byłaby kolonia jak inne kolonie, miałyby wtedy prawo zwrócić się o pomoc do Banku Światowego." Słowa te w zakończeniu swojej książki pt. "Duch nowoczesnego kapitalizmu" napisał Michael Novak, mieszkający w Stanach Zjednoczonych znany teolog katolicki pochodzenia słowackiego.

Jest to wspaniała, a zarazem dziwna książka. Nie napisał jej ani ekonomista ani przedstawiciel żadnej innej gałęzi nauk społecznych. Jej autorem jest teolog, a więc uczyony, którego podstawowym zadaniem jest dociekanie prawdy o Bogu i dziele stworzenia. Tymczasem spod jego pióra wyszło dzieło, w którym autor podjął zadanie pogodzenia wiary i tradycji katolickiej z zasadami wolności politycznej i gospodarczej funkcjonującymi w nowoczesnych państwach.

Co mam na myśli, mówiąc: demokratyczny kapitalizm - pisze Novak. - Pojęcie to rozumiem jako połączenie trzech systemów: gospodarki w przeważającej mierze rynkowej, państwowej polityki szacunku wobec praw jednostki do życia, wolności i dążenia do szczęścia, oraz systemu instytucji kulturalnych opartego o ideały powszechnej wolności i sprawiedliwości. Krótko mówiąc, trzy zbieżne dynamiczne systemy funkcjonujące w ramach jednego ustroju: demokratyczną administracją państwową, gospodarką opartą na rynku i bodźcach, oraz moralno-kulturalny system cechujący się pluralizmem i w najszerszym sensie - liberalizmem."

Michael Novak nie zatytułował swojej pracy "Demokratyczny kapitalizm", lecz do tytułu dodał jedno słowo: duch. I słowo to zmieniło całkowicie styl publikacji i sposoby przekazywania wiedzy o zjawiskach rynku, pieniądza, zysku, inwestycji itp. Z pracy typowo ekonomicznej książka przekształciła się w rozprawę filozoficzno-etyczno-ekonomiczną, kładącą nacisk przede wszystkim na społeczne i humanitarne wartości nowoczesnego liberalnego kapitalizmu, a nie na suche wyliczenia ekonomiczne uzasadniające gospodarcze walory tego systemu. Te ostatnie kwestie autor pozostawia ekonomistom z prawdziwego zdarzenia, a siebie chce zaprezentować jako kontynuatora filozofii gospodarki wolnorynkowej.

Dla nas, mieszkających w peerelu w scentralizowanym i zburokratyzowanym systemie politycznym i gospodarczym, nie jest najważniejszą sprawą przekonywanie do zalet wolnej i niezależnej działalności gospodarczej - bo takie konkluzje nasuwają się same - lecz próby pogodzenia zasad wiary i moralności katolickiej z gospodarczą działalnością wolnorynkową.

Zauważyć warto, że wprawdzie podział świata na bogaty Zachód i Północ, oraz znacznie uboższe Południe nie pokrywa się dokładnie z podziałami religijnymi i istnieje między nimi związek. Nie będziemy tutaj mówić o Europie Wschodniej, w której ubóstwo jest konsekwencją systemu politycznego, porównywać możemy jedynie kraje w których istnieje swoboda gospodarowania i wolność ludzkiej pracy. Najbardziej spektakularnym przykładem są Stany Zjednoczone i Meksyk. Obydwa kraje swoją polityczną niezależność uzyskały mniej więcej w tym samym czasie, obydwa posiadają ogromne bogactwa naturalne, w tym również sprzyjający klimat. Jedyna różnica między nimi polega na tym, że Stany Zjednoczone były kolonią Brytyjską, a Meksyk hiszpańską. Stany Zjednoczone w czasie swojej 200 letniej historii stały się pierwszą potęgą gospodarczą świata, natomiast Meksyk boryka się z coraz

głębszym kryzysem ekonomicznym. Novak analizując te problemy dochodzi do wniosku, że sporą część winy za taki stan rzeczy ponosi katolicka myśl społeczna, która nie mogła lub nie chciała poprzeć w praktyce twórczych koncepcji demokratycznego kapitalizmu uważając, że sprawa realizacji człowieka w działalności gospodarczej, jest sprawą drugoplanową w stosunku do zadania zbawienia duszy. A zbawić duszę, według teologów i biskupów katolickich, można jedynie przez uległość, pokorę i czynienie dobra i sprawiedliwości. Natomiast działalność kapitalistyczna siłą rzeczy musiałaby być postrzegana jako odwracanie od spraw pozaziemskich na rzecz problemów doczesnych. Zamiast mobilizować ludzi do czynu i wzięcia przez nich spraw w swoje ręce, Kościół Katolicki widząc ubóstwo szerokich mas społecznych wolał organizować działalność charytatywną i obwiniać za taki stan rzeczy bezwzględny kapitalizm, a nie ludzką indolencję i brak pomysłów na lepsze życie.

Novak sądzi, że życie w cnotcie, sprawiedliwości i miłości bliźniego nie musi wcale być domeną ludzi ubogich i pokrzywdzonych przez los, lecz może, a nawet powinno stać się udziałem i tych, którzy w swoim ziemskim życiu są w stanie dorobić się uczciwą pracą, dzięki zdolnościom, ekspansji i pracowitości, sporego majątku. Ludzie ci bogacąc się poprzez czerpanie zysku ze swojej gospodarczej działalności, są motorem postępu i cywilizacji, a dając zatrudnienie innym przyczyniają się do podnoszenia stopy życiowej w swoim kraju.

Mogliby się wydawać, że współczesny humanistyczny i zreformowany kapitalizm powinien cieszyć się coraz większym uznaniem u dostojników Kościoła Katolickiego. Okazuje się, że nie. Głosy krytyki ustroju wolnokonkurencyjnego rozlegają się z ust biskupów zarówno w Ameryce Łacińskiej jak i w Stanach Zjednoczonych. "Jesteśmy ofiarami - mówią biskupi Peru - systemów, które eksploatują nasze zasoby materialne, kontrolują nasze decyzje polityczne, narzucają nam kulturalną dominację swoich wartości i cywilizacji konsumpcyjnej".

Biskupi ci, twierdzi Novak i trudno się z nim nie zgodzić, nie przyjmują żadnej odpowiedzialności za trzy wieki wrogości do handlu, wymiany i przemysłu. sądzą, że pożyczki i pomoc w sposób naturalny należą się Peru jako krajowi upośledzonemu ekonomicznie i to niezależnie od praw ekonomicznych rządzących międzynarodowym rynkiem kredytowym. Biskupi ci uważają się za skrzywdzonych, ponieważ innym krajom się to powiodło, a niepowiodło się Peru. Zapominają jednak, że te inne kraje, w tym również Stany Zjednoczone, kiedyś były również tak samo biedne. Nie można zazdrościć bogactwa innym, mówi dalej Novak, jeżeli nie nauczyło się samemu produkować bogactwa. W pierwszym rzędzie należy wprowadzić takie mechanizmy ekonomiczne, które system gospodarczy uczyniłyby bardziej wydajnym. I nie ma nic z tym wspólnego religia, a jedynie zwykły ludzki rozsądek, oraz poczucie odpowiedzialności za doczesne dobro innych. A poza tym aby dawać, trzeba najpierw wyprodukować. Aby w nadmiarze wyprodukować, należy pracować w systemie gospodarki wolnej i efektywnej. Aby być w zgodzie z własnym sumieniem, nie powinno się żądać pożyczek ani zapomóg od tego, kogo się uważa za niegodziwca i wyzyskiwacza.

Z innej pozycji, demokratyczny kapitalizm krytykują amerykańscy dostojnicy katoliccy. Chcą oni w swoim kraju upowszechnić odmianę demokratycznego socjalizmu, upatrując w państwie ostoję powszechnej sprawiedliwości społecznej i równych szans dla wszystkich ludzi. Novak twierdzi, że taki sąd o społecznej rzeczywistości może wyjść tylko od ludzi, którzy poruszają się dobrze w wąskim zakresie zagadnień, nie starają się przy tym osiąść nawet minimum wiedzy ekonomicznej. Gdyby taką posiadli, zdawaliby sobie sprawę, że nawet demokratyczne państwo socjalistyczne z nadmierną ingerencją w sprawy gospodarki wcześniej czy później doprowadzi do ekonomicznej stagnacji, co pociągnie za sobą wzrost bezrobocia i obniżenie ogólnych zarobków na pokrycie zasiłków dla pozbawionych pracy. W konsekwencji doprowadzi do obniżenia stopy życiowej całego społeczeństwa.

Biskupi amerykańscy nie są w żadnym stopniu socjalistami i nie mają nic wspólnego z jakąkolwiek lewicą. Nigdy jednak nie wypowiedaliby takich i im podobnych sądów, gdyby ekonomia nie była najślabszym punktem w nauce Kościoła. Katolickich biskupów z końca XX wieku zapewne stać na więcej niż propagowaniu utopijnych teorii ekonomicznych i przrzucaniu na innych odpowiedzialności za nędzę na własnym podwórku.

Autor "Ducha nowoczesnego kapitalizmu" sądzi, że model pokoju i sprawiedliwości proponowany przez współczesną katolicką naukę społeczną zbliżony jest bardziej do łagodnego socjalizmu niż kapitalizmu demokratycznego.

Nauka ta "mało ma do powiedzenia na temat rynku i bodźców, etyki produkcji, oraz nawyków, dyscypliny i organizacji koniecznych dla tworzenia zamożności. Wydaje się, że uważa ona produkcję dóbr za rzecz oczywistą i zajmuje się apelami o redystrybucję. Odkrycia współczesnej ekonomiki nie zrobiły na niej chyba żadnego wrażenia. Nie ma w niej oznaki trwałego zainteresowania demokratycznym kapitalizmem. Wiele za to świadczy o jej podporządkowaniu się konwencjonalnemu rozumowaniu socjalistów w Europie i w Trzecim Świecie." Czy będziemy więc nadal świadkami jak dostojnicy Kościoła Katolickiego obwiniają demokratyczny kapitalizm jako nosicielstwo materializmu, hedonizmu, wzorów konsumpcyjnych, nierówności społecznych i eksploatacji człowieka? Wydaje się, że pomimo wcześniejszych twierdzeń i na tym polu zaczyna się coś zmieniać. Kościół zaczyna widzieć, że tzw. socjalistyczne modele rozwoju, których od zakończenia drugiej wojny światowej powstało dziesiątki, wyglądają bezbarwnie i żałośnie, gospodarczo są ubogie, a politycznie opresyjne.

Chociaż społeczna nauka Kościoła nie sprawia wrażenia, że jest oparta na empirii i rzetelnych dociekaniach, to jednak Jan Paweł II zapoczątkował pewną odmianę, zwłaszcza w swoich rozważaniach o kreatywności człowieka. Każdy system gospodarczy wg Niego, aby nie tkwić w zastoju, musi produkować znacznie więcej niż inwestuje. Czyli inaczej, system taki musi dokonywać akumulacji kapitału. W tym przypadku tak pogardzany kiedyś przez Kościół zysk musi się stawać czynnikiem rozwoju. Zysk jest warunkiem rozwoju, a brak zysku przyczyną stagnacji i ubóstwa. Wydaje się, słysząc ostatnie wypowiedzi zwłaszcza Papieża, że Kościół zaczyna coraz większą wagę przywiązywać do twórczych możliwości bogactwa. Podobnie jak bez zysku nie może być rozwoju, tak samo bez bogactwa i zamożności gospodarczej nie może być mowy o wydzwignięciu ludzi do godziwego życia materialnego.

To nie doktryna katolicka - twierdzi Novak - jest przyczyną ubóstwa tradycyjnie katolickich krajów Ameryki Łacińskiej. Chrystus przecież wyraźnie zalecił, aby wszyscy czynili sobie ziemię poddań. Godziwe i dostatnie życie na ziemi nie jest przecież przeszkodą do zbawienia. Życie podług zaleceń Ewangelii wcale nie musi przeszkadzać inicjatywie i przedsiębiorczości.

Wręcz odwrotnie, zalecenia Ewangelii i nauki Kościoła rozumianej jako służba bliźniemu swemu w sposób naturalny można sprowadzić do postulatu tworzenia dla jak największej liczby ludzi godziwych warunków życia doczesnego.

Michael Novak dedykował swoją pracę Papieżowi Janowi Pawłowi II. Sądzę, że poprzez ten gest pragnął, aby jego przemyślenia były prawidłowo odczytane przez wszystkich, którzy w różnych krajach świata sprawują rząd dusz. Demokracja, kapitalizm, pomyślność człowieka na ziemi, swoiście pojmowany personalizm gospodarczy to sprawy od których również i Kościół Katolicki nie powinien i nie może się odwracać. Gdyby np. kraje Ameryki Łacińskiej osiągnęły godziwy poziom zamożności, a mogą to uczynić nie poprzez pożyczki i kredyty ale pracę i pogacanie się, nie powstałaby wśród tamtejszego kleru koncepcja teologii wyzwolenia, do której Watykan bardzo zdecydowanie się odnosi.

Novak sadzi, że nadejdzie taki dzień, kiedy Kościół doceni i opowie się za ustrojem gospodarczym, może nie idealnym, ale najlepszym z aktualnie istniejących - czyli za demokratycznym kapitalizmem.

"Bóg Wszchemogący - kończy swoje rozmyślenia Michael Novak - nie uczynił ze stworzenia środka przymusu, ale zaplanował je jako arenę wolności. Bóg wezwał wszystkie narody i jednostki, by na tej arenie żyły według jego prawa i natchnienia. Demokratyczny kapitalizm został tak pomyślany, by pozwolić im grzesznikom realizować tę wolność", o ile tylko tego pragną.

Władysław WYZNAWCA

Uwagi redakcji:

"Duch nowoczesnego kapitalizmu" Michaela Novaka stanowi jedną z wielu, podejmowanych od pewnego czasu prób zbliżenia systemu wartości wpływających z katolickiej nauki społecznej z zasadami wolnego gospodarowania osadzonymi w demokratycznym systemie politycznym. Na łamach naszego pisma wielokrotnie przyznawaliśmy się do akceptacji katolickich wartości w życiu indywidualnym i zbiorowym równocześnie propagując gospodarczy i polityczny model demokratycznego kapitalizmu. Nie dostrzegaliśmy w przeszłości i nie dostrzegamy obecnie żadnej przepaści pomiędzy religijnym modelem życia i demokracją w sferze wartości i w sferze polityki, i gospodarką wolnokonkurencyjną w ekonomii. Wręcz przeciwnie, sądzymy,

że dokładniejsza analiza założeń filozofii katolickiej i nauczania społecznego Kościoła prowadzi do wniosków niesprzecznych z wyrażanymi przez nas poglądami.

Ujmując rzecz w ogromnym uproszczeniu człowiek został stworzony jako byt wolny, jako podmiot i sprawca wszystkich świadomych działań. Obdarzony rozumem i wolną wolą swoje życie ziemskie przeżywa podióg własnych świadomych wyborów.

Personalistyczna koncepcja człowieka całkowicie sprzeczna z kolektywistycznym modelem społeczeństwa kładzie główny akcent właśnie na wolność i podmiotowość osoby ludzkiej. To człowiek, w swojej niepowtarzalności osoby ludzkiej, wytycza zarówno swój los jak i historię społeczności czy narodu. Od człowieka wszystko się zaczyna i na człowieku się kończy. Nie jest on wytworem historii i określonych sił ekonomiczno-społecznych lecz ich animatorem i twórcą. Podmiotowość wobec układów zewnętrznych, indywidualizm w określaniu swego miejsca w społeczeństwie, oraz wolność wyboru własnego losu to trzy filary, na których opiera się katolicka wizja człowieka. Przenosząc owe pojęcia ze sfery wartości filozoficzno-etycznych na grunt polityki praktyki gospodarczej nie sposób nie dostrzec wyraźnych związków między wolnością, podmiotowością, czyli wolnym wyborem a założeniami demokratycznego kapitalizmu. Módlcie się i pracujcie i czyńcie sobie ziemię poddaną. Religia katolicka ziemską wędrówkę człowieka pojmuje jako zmaganie się z przeciwnościami losu. Aby bariery, trudności i przeciwności mogłyby być pokonane, człowiek musi sam swój los wziąć w swoje ręce i być do końca za niego odpowiedzialny. Sfera wolności musi się być rozciągnięta również na wytwarzanie dóbr doczesnych, czyli na działalność gospodarczą. Człowiek z natury swojej wolny nie może być nigdy w wymiarze osobowym i społecznym wolny, jeżeli nie będzie mógł kierować swojej wolnej aktywności i inicjatywy na tak ważną sferę działalności ziemskiej, jaką stanowi wytwarzanie dóbr i usług materialnych.

W gospodarce kolektywistycznej musi on zatracić swoją wolność jako podmiot gospodarowania, swój indywidualizm, swoją aktywność i przedsiębiorczość. Gospodarka zespołowa o nieokreślonym systemie własności jest naturalnym zaprzeczeniem wolności pracy i zdrowego rozsądku.

Wolność człowieka wiąże się w sposób nierozzerwalny z możliwością posiadania własności. Oczywiście człowiek nie musi dążyć do zdobywania tej własności, ale zgodnie z postulatem wolności wyboru musi mieć zagwarantowaną taką możliwość. Brak takiej gwarancji ze strony ustroju i systemu prawnego państwa w sposób ewidentny ogranicza wypływające z natury, prawa człowieka, odbierając mu tym samym pewną część jego osobistej i społecznej wolności.

Demokratyczny kapitalizm funkcjonujący podług powszechnie akceptowanego systemu prawnego, spełnia wszystkie powyższe postulaty głoszone przez religię katolicką. Spełnia, ponieważ odwołuje się do personalistycznej wizji człowieka uznając go za podmiot, a nie przedmiot gospodarowania. Spełnia, ponieważ w pełni gwarantując posiadanie różnorodnych form własności środków produkcji, eksponuje przedsiębiorczość i inicjatywę, uaktywnia możliwości twórcze człowieka, nie deprecjonując przy tym jego samego i jego godności osobistej.

Michael Novak jest autorem bardzo mądrej i potrzebnej książki. Swoim wnikliwym umysłem teologa i socjologa docieka przyczyn historycznych rozbieżności między katolicką nauką społeczną a systemem liberalnym w gospodarce. Podsumowując swoje przemyślenia dochodzi do wniosku, że dobry katolik nie musi koniecznie być człowiekiem biednym, bez inicjatywy i niedbającym o ziemskie powodzenie. W pełni podzielamy jego opinię i jesteśmy przekonani, że kapitalistyczna i demokratyczna w przyszłości Polska nie przestanie być nadal w sferze wartości katolicką, ba, sądzimy, że stanie się nią bardziej niż dziś.

Władysław WYZNAWCA

W niedługim czasie, w kolportażu - także naszym, pojawi się nbwy, 6 już numer Kwartalnika Politycznego "SAMOSTANOWIENIE". Zawiera on tradycyjnie wiele materiału dotyczącego działalności ośrodków legalistycznych w kraju /wywiad "SST", omówienie nowych czasopism tego kierunku/ i zagranicą /np. "Kronika emigracyjna", wywiad z Prezydentem RP/. Z aktualiów polecary dwa materiały omawiające reperkusje konfliktu afgańskiego. Jan Proskura w artykule "Po antykomunistycznej stronie konfliktu afgańskiego" zastanawia się nad znaczeniem partyzantki i jej możliwościami politycznymi i wojskowymi z jednej strony i wewnętrznymi w niej podziałami z drugiej, nad możliwościami otwierającymi się przed polityką polską /Rządu RP/, oraz nad reorientacją sowieckich celów strategicznych w Afganistanie. "Kalkulacje Kremla" - pisze Proskura - mogą być różne. Od narodowego zjednoczenia Tdżyków, Kirgizów, Uzbeków i Turkmenów z Afganistanu i ZSRR /.../ po podjęcie sprawy zjednoczenia narodowego Patanów /Pusztanów/ z Afganistanu i Pakistanu. Czas pokaże, czy ZSRR będzie gwarantem czy grabarzem linii Duranda rozgraniczającej Afganistan i Pakistan. Jej przekreślenie może nawet odbyć się w wariacie trzech zapalek Churchilla wymyślonym dla Polski: przez włączenie prowincji północnej Afganistanu do ZSRR, a prowincji północnej Pakistanu do państwa Pusztanów."

Drugi tekst - Longina - "Krokodyl wciągający brzuch" dotyczy, najogólniej mówiąc kłopotów jakie Sowietom sprawia islam, nie tylko w Afganistanie, ale przede wszystkim wewnątrz Imperium. "Olbrzymie obszary od Kaukazu i nadwołżańskich stepów po Ałtaj ciężko poczęły od Moskwy ku południowi, pogłębiając pęknięcie imperialnej budowl. Czy Afganistan stanie się zatem dla niej drugą Japonią? Nie sposób zaręczyć, niemniej widać już teraz, iż dla żarłocznej euroazjatyckiej bestii okazał się on kąskiem zdecydowanie niestrawnym."

Jednakże "hitem" tego numeru "SAMOSTANOWIENIA" jest dla niżej podpisanego rozmowa z Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej Kazimierzem Sabbatem. W szczególności chciałbym zwrócić uwagę na skalę i zakres kontaktów z emigracjami środkowoeuropejskimi. I tak, zapytany o stan tych kontaktów Prezydent Sabbat odpowiedział:

"Zanim odpowiem na to pytanie, muszę jedną sprawę podkreślić. Legenda o tym, że emigracja polska jest skłócona, podczas gdy emigracje z innych krajów są zgodne, jest całkowicie nieprawdziwe. W porównaniu z innymi emigracjami, emigracja polska jest oazą jedności, spokoju i współpracy. Bardzo nam trudno znaleźć partnerów do rozmów. Istnieje na przykład ukraiński rząd emigracyjny od 1920 r. Jesteśmy z nim w kontakcie. Ale ten rząd ukraiński nie ma niestety oparcia w społeczeństwie ukraińskim na emigracji. Ukraińcy są bardzo skłócony. Od czasu powrotu Benesa do Czechosłowacji nie ma czeskosłowackiego rządu na uchodźstwie. Powstał Komitet Wyzwolenia Narodowego. Z tym Komitetem również zawarliśmy porozumienie. Ale opinia czeska uważa go za formację lewicową i z tego powodu bardzo wielu Czechów nie chce z nim współpracować. Węgrzy nie mogą stworzyć przedstawicielstwa emigracyjnego. Rumuni dopiero na nasze naleganie w ostatnich dwóch latach stworzyli Światowe Przedstawicielstwo. Kraje bałtyckie zachowały ciągłość państwową. Litwini boją się z nami kontaktów, lepsze stosunki mamy z rządami Łotwy i Estonii. Mamy dwa porozumienia: polsko-ukraińskie z 1979 r. i polsko-czeskie z 1986 r. Łatwiej jest o współpracę lokalną, w poszczególnych krajach i w poszczególnych miejscowościach. Od kilku lat forsujemy koncepcję, że między Niemcami i Rosją nie może być kilkunastu małych państweczek nie związanych ze sobą, działających każde osobno. Wymogiem przeżycia jest stworzenie jakiejś formacji ponadnarodowej. Nie możemy w tej chwili określać form takiej konfederacji. Sytuacja obecna potwierdza, że nie będzie pokoju w Europie, dopóki Niemcy i Rosja nie zostaną rozdzielone pasmem państw niezależnych. Musimy być w tych sprawach ostrożni, bo wśród naszych sąsiadów jest obawa polskiego imperializmu. Dlatego inicjatywy nasze, zbyt daleko idące i zbyt pospieszne, tylko naszych sąsiadów odstrasza. Zwłaszcza, że w przeciwnieństwie do emigracji polskiej nie ma wśród nich zespołów poczuwających się do odpowiedzialności za całość spraw narodowych. Dlatego jesteśmy ostrożni i dlatego raczej oczekujemy inicjatyw naszych sąsiadów. Najdalej zaszła sprawa w umowie polsko-czechosłowackiej, w której jest mowa o konfederacji tych dwóch państw otwartej dla innych narodów. Najlepiej zareagowała na to emigracja estońska, która oświadczyła o gotowości przystąpienia do współpracy w tym zakresie. Również Rumuni są tym bardzo zainteresowani i gotowi do podobnej współpracy. Najtrudniej nawiązać kontakt z Litwinami, którzy się nas boją i wszelkie deklaracje sentymentów w stosunku do Litwinów mają skutek wręcz odwrotny. Kłopot jest ze

Słowakami. Deklaracja polsko-czechosłowacka wywołała bardzo ostre protesty Słowaków. Słowacy domagali się od nas wycofania się z tej deklaracji. Musieliśmy dokończyć wyboru na rzecz Czechosłowacji, bo inaczej byśmy nie ruszyli z miejsca. Słowacy są narodem bardzo dla nas bliskim i sympatycznym, ale sojusz ze Słowakami przeciwko Czechom byłby krokiem nierozsądnym. Porozumienie polsko-ukraińskie zostało podpisane na tej zasadzie, że w interesie wolnej Polski leży wolna Ukraina, a w interesie wolnej Ukrainy leży wolna Polska, więc emigracje tych krajów powinny współpracować, natomiast sprawy sporne między naszymi narodami załatwią wolne parlamenty przy wyzwoleniu."

Przede wszystkim, choć nie wyłącznie ze względu na powyższy wywiad omawiany numer "SAMOSTANOWIENIA" chcielibyśmy polecić zwłaszcza wszystkim sceptycznie zapatrującym się na polityczne walory legalizmu. Niechby może skonfrontowali swoje wyobrażenia o tym nurcie z rzeczywistością.

REDAKTOR DYŻURNY NUMERU MAJOWEGO

FELIETON OBSERWATORA. KONIEC WĄJERSKIEGO MITU

Po ostrym kryzysie gospodarczym i społecznym w początku lat 80-tych komunistyczna władza w Polsce szukała przykładów zaprzeczających tezie o strukturalnym kryzysie systemu. Modne wtedy stało się powoływanie na Węgry, jako kraj komunistyczny, przeżywający prosperity. Co więcej, przykład węgierski pasował jak ulał ekipie Jaruzelskiego dla usprawiedliwienia 13 grudnia. Na Węgrzech przecież wydarzenia 56 roku miały znacznie bardziej dramatyczny przebieg, pociągnęły za sobą o wiele więcej ofiar, ekipa Kádára była jeszcze mniej popularna niż polskich generałów, lecz po latach wszystko skończyło się happy endem. Dzięki polityce swego przywódcy Węgry uzyskały stabilność i dobrobyt, a nawet względną liberalizację. Rzekomy sukces kádárovskiej polityki stanowić miał wzór dla polityki ekipy generała. Reforma gospodarcza, przeprowadzana na Węgrzech zadawała też jakoby kłam twierdzeniom polskiej ekstremy o niereformowalności komunizmu. Ratrzcie, mówili partyjni propagandyści, jak socjalizm pięknie się zreformował i jakie uzyskał efekty. Twierdzenia te "kupiła" część polskiej opinii, a nawet niektórzy publicyści niezależni. Rzeczywiście, odwiedzając Budapeszt można się było przekonać, iż w sklepach półki są pełne towarów, nie ma takich kolejek jak w Polsce, stolica sprawia wrażenie europejskiej metropolii. Pełne półki sklepowe świadczyć miały o słusznym kierunku polskiej reformy gospodarczej, zainicjowanej podwyżkami cen. Minister Krasiński zapewniał społeczeństwo, że dzięki tej operacji już wkrótce polskie sklepy przypominać będą węgierskie. Wśród zachwytów nad kádárovskimi sukcesami umykały uważne pewne fakty. Mimo reformy zainicjowanej w 1980 r. /można by ją zresztą nazwać II etapem, gdyż I trwał od 1968-72 i zakończył się klęską reformistów/ tempo wzrostu węgierskiej gospodarki było mizerne /średnio 1% rocznie/, płace realne malały, rosła inflacja, a zadłużenie zagraniczne po pierwszych sukcesach eksportowych w poł. lat 80-tych wzrosło. Okazuje się, że pełne półki w sklepach to jeszcze nie wszystko, a gospodarcze powodzenie nie może być mierzone wyglądem sklepowych wystaw. Jeden z największych autorytetów światowych w dziedzinie gospodarki komunistycznej, Węgier Janos Kornai w wielu pracach wypowiadał się sceptycznie na temat gospodarki węgierskiej. Co więcej, nie traktował jej jako jakościowo różną od innych gospodarek rządzonych centralnie. Powoli świadomość krachu reformy węgierskiej zaczęła docierać do Polski. W ostatnich latach w prasie reżymowej można było spotkać już niewiele zachwytów nad węgierskim cudem gospodarczym. Konferencja partyjna, usunięcie Kádára i ostra krytyka jego polityki oznacza ostateczny koniec mitu o sukcesie reformy w komunizmie. Węgry stanęły przed tymi samymi problemami co Polska, Rumunia, czy ZSRR. Problem główny to nieefektywna gospodarka, a następnie inflacja, stagnacja, zadłużenie. Te same też co w Polsce są dylematy władz. Jak daleko mogą zajść reformy gospodarcze i polityczne, aby system stał się bardziej efektywny, a nie stracił swego komunistycznego charakteru - oto pytanie podstawowe, które przypomina poszukiwanie przez dawnych alchemików formuły kamienia filozoficznego. Węgry podążają tą samą drogą co Polska, a za nimi stoją w kolejce inne kraje sowieckiego bloku. Klasko węgierskiej reformy jest zapowiedzią destabilizacji maddunajskiej republiki. Jest też końcem marzeń komunistów o łatwych i bezbolesnych dla aparatu reformach.

OBSERWATOR

XXIX. SYMBOLICZNY, SPONTANICZNY I SPEKTAKULARNY WYRAZ

Jesienią ubiegłego roku w kamienicy przy ulicy Poznańskiej, siedzibie Przedsiębiorstwa Spedycji Międzynarodowej "HARTWIG" przeprowadzano remont. W jednym z przewodów wentylacyjnych natknięto się na plik ulotek. I nie były to, jak można by się spodziewać pamiętając o ostrej działalności "Solidarności" w "HARTWIGU", druki z okresu niepokojów społecznych i anarchii. Były to ulotki podpisane przez Komunistyczną Partię Polski. Dwie z nich, jedna protestująca przeciwko podwyżkom komornego i druga wzywająca do niepłacenia na "Ligę Obrony Powietrznej państwa burżuazyjnego", obie z października 1925 roku, leżą właśnie przed niżej podpisanym.

Niezwykłość całej tej historii nie polega na znalezieniu komunistycznych ulotek w wentylacyjnym przewodzie, zwłaszcza, że podobno w kamienicy przy ulicy Poznańskiej mieściła się w okresie międzywojennym sowiecka ambasada, lecz na reakcji czerwonych. Otóż, poinformowani o znalezisku polecili...wyrzucić je na śmietnik, skąd właśnie dwie z nich trafiły, choć nieprostą drogą, do niżej podpisanego zbieracza osobliwości. I właśnie fakt, że historyczne już przecież, bo ponad półwieczne druki trafiły, i to za sprawą czerwonych, nie do Muzeum Dachu Rewolucyjnego, Centralnego Archiwum KC PZPR czy chociażby Biblioteki Narodowej lecz na śmietnik wydaje się niżej podpisanemu symbolicznym, spontanicznym i spektakularnym wyrazem ideologicznej śmierci komunizmu w Polsce.

Arkady AQUEDUKT

XVII. "J U D A S Z" D O "R A J U": KULTURA I OŚWIATA

PREZYDIUM RADY NAJWYŻSZEJ LITEWSKIEJ SRR nadał honorowe tytuły "ZASŁUŻONEGO PRACOWNIKA KULTURALNO-OŚWIATOWEGO LITEWSKIEJ SRR". "Za wieloletnią owocną pracę", nie - jakbyś myślał Czytelniku - na niwie oświaty czy amatorskiego ruchu kulturalnego, ja przynajmniej takich nie spotkałem. Lecz np. za "pracę w organach Rad /przewodniczącemu Komitetu Wykonawczego Kapskaskiej Miejskiej Rady Deputowanych/ lub w "instancjach partyjnych"/II sekretarzowi Wileńskiego Komitetu Rejonowego Komunistycznej Partii Litwy/ - patrz "CZERWONY SZTANDAR" z 1.XII.1987 i 6.III.1988r. /A.SZ./

SPROSTOWANIE:

W wrześniowym numerze z 1987 roku miesięcznik "KULTURA" zamieścił informację o powstaniu w Warszawie "Porozumienia Partii i Organizacji Niepodległościowych. Wśród sygnatariuszy "Porozumienia" mylnie wymieniona została "Liberalno-Demokratyczna Partia "Niepodległość". LDP"N" nigdy nie była Członkiem "PPiON", jest nim "Niepodległość" - Organizacja Liberalnych Demokratów", od 1987 roku niezwiązana żadnymi więzami organizacyjnymi z LDP"N". Liczymy na sprostowanie.

"NIEPODLEGŁOŚĆ"

Organizacja Liberalnych Demokratów

K O M U N I K A T Y:

1. Apelujemy o przekazywanie, poprzez kolportaż, wpłat i darów rzeczowych /farba, papier, matryce.../ na "FUNDUSZ WYDAWNICZY "NIEPODLEGŁOŚCI".

GRUPA PISMA "NIEPODLEGŁOŚĆ"

2. Informujemy o zbieraniu przez nas wpłat na "FUNDUSZ POMOCY REFRESJONOWANYM ZA DZIAŁALNOŚĆ OPOZYCYJNĄ". Apelujemy o wpłaty na ten fundusz.

"NIEPODLEGŁOŚĆ"

Organizacja Liberalnych Demokratów

Ukazujący się od stycznia 1982 r. miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" wydany jest przez GRUPĘ PISMA "NIEPODLEGŁOŚĆ" - S.A. Posiada ona wszelkie prawa wydawnicze na obszarze Polski. Przedruk poszczególnych artykułów dozwolony z podaniem źródła. Całość po uprzednim porozumieniu z GP"N" - S.A.

Naszych sympatyków informujemy, że współpracują z nami:

- Tadeusz KADENACY i FRIENDS OF "NIEPODLEGŁOŚĆ" /na terenie Wielkiej Brytanii i Ameryki Północnej/, 3rd Gwendolen Avenue, London, SW 15.
- Janusz CUREYJAK /na terenie Skandynawii/ - Villagatan 10, 330 12 FORSHEDA, SVEDEN.